



# Zeszyty TŁUMACKIE



III KWARTAŁ 2002

ISSN: 1426-4129

Nr 3 (27)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław



Wieże pod koniec XIX w.



Wieże po przebudowie po 1910 r.

Kościół rzymsko-katolicki p.w. Św. Anny w Tłumaczu

# Rocznice Września

(1, 11, 17 IX 2002 r.)

Wrzesień dla wielu z nas jest miesiącem wspomnień, refleksji i przemyśleń. 63 lata temu w Polsce rozpoczął się on przenikliwym rykiem syren, złowieszczą nutą obwieszczą wojnę.

Nie zapomnimy nigdy, że II-ga wojna światowa pochłonęła 50 milionów ludzi, w tym 6 milionów w Polsce. Brały w niej udział 72 państwa, zmobilizowano ogółem ponad 110 milionów ludzi nie licząc ruchu oporu. W Polsce jeszcze długo po wojnie żołnierze podziemia ginęli w więzieniach PRL.

Prześladowani byli również „andersowscy” mający odwagę wrócić po wojnie do swego kraju. Uważano ich za zdrajców, tak jak ich wodza – generała Andersa, który odważył się wyprowadzić z „domu niewoli” ponadstutysięczną armię polską oraz cywilów, matki i dzieci ratując je przed śmiercią głodową.

17. września to też 63 rocznica tzw. „czwartego rozbioru Polski” przysłowiowego noża w plecy zadanego nam przez Sowieców.

Od tej daty nastąpiło masowe wyniszczenie narodu polskiego, szczególnie mieszkańców Kresów.

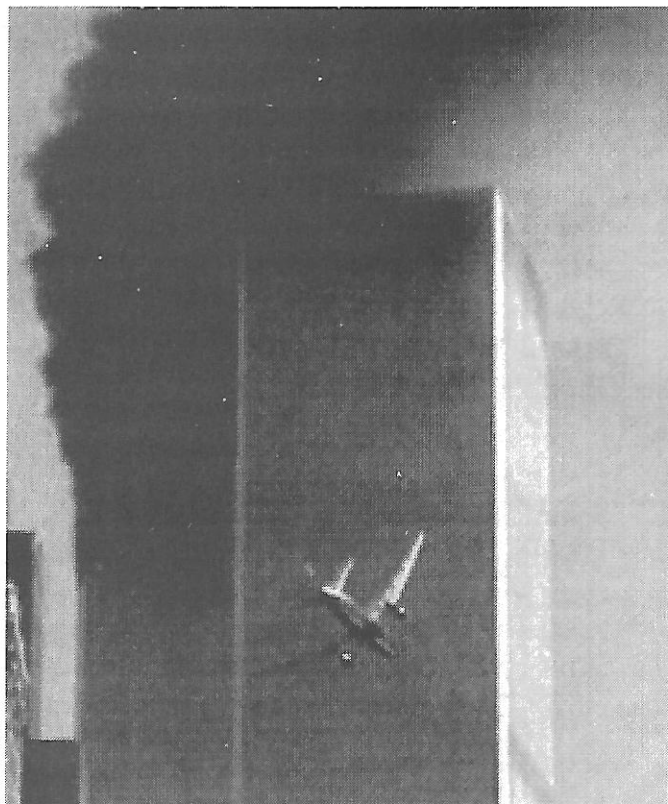
Wiek XXI rozpoczął się widmem międzynarodowego terroryzmu.

11 września br. to pierwsza rocznica tragicznych wydarzeń w Ameryce, które swą potwornością i zaskoczeniem zelektryzowały cały świat. Zginęło ponad 3 000 ludzi w tym 6 Polaków.

Wspaniałym symbolem martyrologii Polaków jest piękny pomnik Katyński na Jersey City w Nowym Yorku (ZT Nr 2/26) postawiony w 1991 r. na tle zniszczonych w 2001 r. wież World Trade Center.

Te trzy wrześniowe daty 1, 11 i 17 każą nam pamiętać o zbrodniach popełnianych na niewinnych ludziach w imię bezsensownych ideologii.

Redakcja



WTC – 11 września 2001 r.

Jan Johnson

## Ojcu...

*W spiekocie i kurzu kroczyłeś drogą,  
Jenieckim szlakiem wiodącym na wschód.  
Zabrali Ci wolność i godność mogą,  
I to co najdroższe zabrał Ci wróg.*

*A potem „śledztwo” i wyrok surowy  
W Mińsku, w więzieniu, tak zwał się gród  
O sprawiedliwości nie było mowy  
Kara śmierci! Wyrok zmienić mógł cud.*

*Cudu nie było. Pierś rwało szlochanie  
Twarz cała skąpana w łzach  
Ku niebu się rwało bolesne wołanie  
Boże, zawiadom rodzinę choć w snach*

*Pamięć o Tobie trwać będzie zawsze  
O bohaterze „Wrześniowych Dni”  
W modlitwach do Boga prosby najtłaskawsze  
zanoszą kamienie skąpane w Twej Krwi...*

# Lista Ofiar Stalinizmu

Nasi Tłumaczanie – ojcowie, mężowie i bracia ginęli w sowieckich lagrach i obozach.

Dla uczczenia ich pamięci przedstawiamy listę nazwisk – ofiar stalinizmu – z Tłumacza i okolic na podstawie nowych, ostatnio opublikowanych źródeł.

Lp.	Imię i nazwisko	Data urodz.	Miejsce zam. i profesja	Miejsce kaźni	Miejsce poch.
1.	Jan Jeżowski	11.12.1884	v-ce starosta w Tłumaczu	Kijów, ul. Karolenkiwska 17	„K-B”
2.	Jan Latkiewicz	17.06.1896	komisarz P.P. kier. komendy Tłumacz	Kalinin	„O-K”
3.	Bruno Barteczko	12.07.1899	st. przod. P.P. post. Markowce-Tłumacz	Kalinin	„O-K”
4.	Andrzej Matejko	25.11.1897	przod. P.P. Kmdt p. Tłumacz	Kalinin	„O-K”
5.	Stanisław Johnson	1.07.1901	st. post. Lwów kom. Tłumacz	Mińsk, więź. „Amerykanka” Aleja Lenina 13	„M-K”
6.	Stefan Urbaniak	13.08.1913	ppor. rez. Zarząd Miejski Tłumacz	Smoleńsk – Kosogor.	„S-K”
7.	Michał Dębiec	24.08.1893	ppor. rez. kier. szkoły Tłumacz	Smoleńsk – Kosogor.	„S-K”
8.	Zbigniew Dubicki	17.10.1907	por. OZ 13 DP Tłumacz	Dubno / Woł. – Smol. – Kosog.	„S-K”
9.	Józef Jabłoński	8.03.1895	st. post. Miksztań; post. Markowce (Tłumacz)	Kalinin	„O-K”
10.	Leopold Eug. Jasche	10.10.1909	ppor. rez. nauczyciel Tłumacz	Charków	„S-CH”
11.	Jan Borkowski	8.03.1896	st. przod. P.P. komendant p. Chocimierz (Tłumacz)	Kalinin	„O-K”
12.	Józef Urbaniak	12.03.1888	st. post. P.P. p. Tłumacz	Kalinin	„O-K”
13.	Jakub Panachida	6.08.1882	emeryt. przod. P.P. Tłumacz	Kijów	„K-B”
14.	St. Julian Kozakiewicz	6.02.1891	kpt. rez. Tłumacz	Kijów	„K-B”
15.	Leon Jurczyszyn	12.04.1901	ziemianin Żywaczów (Tłumacz)	Kijów	„K-B”
16.	Filip Józef Wolański	26.05.1905	starostwo Tłumacz	Kijów	„K-B”
17.	dr Stanisław Rizler	31.05.1908	starostwo Tłumacz	Kijów	„K-B”
18.	Leon Seidler	26.07.1897	por. w stanie spocz., burmistrz Tłumacza	Kijów	„K-B”
19.	Ludwik Willner	2.10.1891	st. post. Stryj, kom. Tłumacz	Kijów	„K-B”
20.	Józef Śmiechowski	21.10.1900	cywil. Jezierzany (p. Tłumacz)	Kijów	„K-B”
21.	Czesław Chmielewski	20.10.1905	post. P.P. komdt Tarnowica Pol. (Tłumacz)	Kijów	„K-B”
22.	Jarosław K. Makarewicz	18.08.1904	kpr. rez. („na Chatkach”), szewc Tłumacz (Współprac. NKWD w Tłumaczu – skazany za przywłaszczenie sobie rzeczy pochodzących „z rewizji”, które powinny być oddane do NKWD – przyp. red.)	Kijów	„K-B”
23.	Józef Szafer	7.02.1900	st. post. z-ca kp. Chocimierz (Tłumacz)	Mińsk – Kuropaty	„M-K”
24.	Józef Tabiński	19.03.1888	ppor. lek. kadra zap. II szp. okr. W-wa, brat stryj. Jana Tabińskiego	Charków	„S-CH”
25.	Wojciech Komornicki	23.04.1879	inż. rol., ziemianin Bokówna (Tłumacz)	Kijów	„K-B”
26.	Julian Scibor-Rylski	29.09.1910	ppor. inż., ziemianin Czarnołóżce (Tłumacz)	Kijów	„K-B”
27.	Ludwik Wiszniewski	3.02.1879	inż. rol., ziemianin, właściciel Horydlad i Ostryni (Tłumacz)	Kijów	„K-B”
28.	Leon Burczyński	1895	ławnik sądu Tłumacz	Kijów	„K-B”
29.	Władysław Sędziwy	1889	st. post. PP Tłumacz	Kijów	„K-B”
30.	Władysław Sokolowski	28.06.1897	PP Stanisławów, muzyk	Kijów	„K-B”

Na podstawie Kalendarzy z 2000 r. (Miński, Kijowski, Kozielski, Ostaszkowski, Starobielski) autorstwa ks. prał. Zdzisława Peszkowskiego i dr. St. Zdrojewskiego dotyczących martyrologii Polaków-Tłumaczan.

Wybrał i usystematyzował **Jan Johnson**.

Listę uzupełniła na podstawie książki „Śladami Zbrodni Katyńskiej” **Anna Panachida-Bocheńska**.

## Objaśnienia znaków:

- „K-B” – Kijów - Bykownia – miejsce pochówku
- „O-K” – Ostaszków - Kalinin – miejsce pochówku
- „M-K” – Mińsk - Kuropaty – miejsce pochówku
- „S-K” – Kozielsk, Smoleńsk - Kosogor – miejsce pochówku
- „S-CH” – Starobielsk, Charków - Starobielsk – miejsce kaźni i pochówku

## Informacja

Rodziny osób straconych są upoważnione do odbioru bezpłatnego egzemplarza publikacji „Śladami zbrodni katyńskiej” w Muzeum Katyńskim w Warszawie przy ul. Powsińskiej 13 (tel. 022 42-66-11) codziennie w godz. 10<sup>00</sup> – 16<sup>00</sup> z wyjątkiem poniedziałków i wtorków.

Redakcja



# Tłumacz w okresie I wojny światowej

## Powrót (c.d.)

Franciszek Petrus

*Od redakcji:*

*W kolejnych odcinkach tej autobiograficznej powieści autor opisuje pobyt wakacyjny Janka Kowala i grupy jego przyjaciół we Wschodnich Karpatach latem 1914 r. Następnie analizuje początki wybuchu I wojny światowej (28 lipca 1914 r.).*

*W obecnie drukowanych odcinkach jako **naoczny świadek** przedstawia losy Tłumacza i jego mieszkańców podczas działań wojennych.*

Cały świat ogarnęła zbiorowa psychoza wojenna. Zaczęły się masowe pochody i demonstracje. Po ulicach miast ciągnęły pochody z orkiestrami, lampionami i portretami cesarza. Wznoszono okrzyki: My chcemy wojny, precz z Serbią i Rosją! Śpiewano ułożone naprędce piosenki, w których już bito Rosjan i przeganiano ich od Warszawy aż do Petersburga. Przedstawiano w gazetach cesarza Franciszka Józefa I jak klęczy i z rękami złożonymi do modlitwy, niby Chrystus w Ogrójcu, zanoszący modły do Boga, by odwrócił od niego i jego państwa, tę wojnę.

Tymczasem szybko rozklejano obwieszczenia mobilizacyjne i odezwy cesarza do jego ludów, w której Boga brał na świadka, że nie chciał tej wojny. Zapewne czynili to samo i inni cesarze, królowie i prezydenci państw, a przeciętnemu poddanemu, czy też obywatelowi, niewątpliwie trudno było zorientować się, kto ma rację, po której stronie jest prawda i komu będzie błogosławił Bóg, wciągany przez ludzi przemocą do czynnego udziału w tych czysto ludzkich sprawach.

Już rozlegał się po wsiach i miasteczkach płacz kobiet i szloch dzieci, gdy żegnali się ojcowie z żonami i dziećmi, synowie z rodzicami, braćmi i krewnymi, wzywani pod broń rozkazami mobilizacyjnymi.

Lokomotywy pociągów, przeładowanych rezerwistami, posępnym wyciem żegnały miasto, jakby i one odczuwały to i rozumiały, że dla wielu ludzi jest to wyjazd bez powrotu.

Przed urzędami podatkowymi zaczęły tworzyć się duże ogonki ludzi, szczególnie z okolicznych wsi, wymieniających złote monety austriackie na banknoty, gdyż według rozsiewanych wieści, złoto ma stracić całkiem swą wartość.

Masowo zaczęto aresztować Bogu ducha winnych ludzi, podejrzanych o sprzyjanie Rosjanom, których nazywano moskalofilami.

Z okolicznych wsi żandarmeria zwoziła masowo księży ruskich, podejrzanych o szpiegostwo. Ludzi tych, najczęściej niewinnych, kierowano do Wiednia, Grazu i Linzu, do miejsc odosobnienia.

Od strony Husiatyna, Czortkowa i Buczacza zaczęły napływać setki uciekinierów z całym swym dobytkiem, opowiadając fantastyczne wprost rzeczy o rzekomych okrucieństwach kozaków, o rabunkach, znęcaniu się

nad ludnością. Wszystkie te wiadomości, znikąd niepotwierdzone, doprowadzały ludzi do szału. Nic nikt nie robił. Nie spieszono się ze zbiorami. Ludzie, jak nieprzytomni, chodzili wokół, łowili wszystkie wiadomości, odpowiednio je uzupełniali i całymi dniami politykowali.

Ktoregoś dnia od strony Dniestru – od Niżniowa – nadleciał nie widziany dotychczas w tych stronach gość – samolot austriacki, który leciał dość nisko. Przeleciał on nad miastem, kierując się ku Karpatom w stronę granicy węgierskiej. Znaleźli się tacy, którzy z całą pewnością wiedzieli, że leci on do Wiednia po pomoc, gdyż na froncie jest źle.

W połowie sierpnia zaczęły do Tłumacza ścigać pierwsze rozbite oddziały jazdy węgierskiej. Cofały się one spod Husiatyna i Satanowa, gdzie zostały mocno przetrzebione przez kozaków. Dużą ilość koni prowadzono osiodłanych, ale bez jeźdźców. Widocznie musieli polec w walkach.

Prowadzono też kilka kirgiskich koni, zdobytych na kozakach. Różniły się one wielkością, budową i wybitnie ciemną maścią sierści. Inne też miały na sobie siodła i całe oporządzenie. Ludzie oglądali je z ciekawością, jak również kilka zdobytych karabinów i szabel.

Trudno tylko było rozmówić się z Węgrami, gdyż nie rozumieli po polsku, ani po niemiecku. Oficerowie nie wdawali się w ogóle w rozmowy i wyglądali na bardzo przygnębionych. Na żołnierzach znać było duże wyczerpanie i zmęczenie.

Po kilkugodzinnym odpoczynku oddziały te odchodziły w kierunku Stanisławowa lub Nadwórnej.

Najgorsze były dni, gdy w ogóle nie było widać żadnych oddziałów wojskowych. Mówiono, że starostwo, żandarmeria i inne urzędy są już spakowane i że lada dzień opuszczą miasteczko.

Już od czasu do czasu od strony Buczacza słychać było słabe, głuche i niewyraźne odgłosy kanonady armatniej.

Wieczorami niebo na wschodzie paliło się szeroko rozlanymi łunami. Mówiono, że to wojsko austriackie cofając się pali swe magazyny i składy.

Wojna powoli, ale coraz wyraźniej, zbliżała się ku Tłumaczowi.

Radosny nastrój, jaki towarzyszył pochodom i demonstracjom kilka dni temu, uleciał gdzieś bezpowrotnie, a głęboka troska i niepewność pojawiła się na zatroškanych obliczach ludzi.

Janek chodził po mieście i bacznie wszystko obserwował.

Przysłuchiwał się wszystkim prawdziwym i nieprawdziwym wiadomościom. Natrafił wśród huzarów węgierskich na podoficera, który mówił dobrze po niemiecku i ten poinformował go bez ogródek, że najdalej za kilka dni będą tu Rosjanie, że wojska austriackie są w pełnym odwrocie od Zbrucza i że decydujące walki rozegrają się w Karpatach i pod Przemyślem, i że na pewno Rosjanie dalej nie pójda.

Kowal podzielił się tymi wiadomościami z rodzicami, co oczywiście wywarło na wszystkich przygnębiające wrażenie.



Tego roku jesienią miał wrócić z wojska ze Stanisławowa najstarszy brat Janka, który kończył właśnie swą trzyletnią służbę wojskową. Oczywiście o powrocie nie mogło już być mowy.

Udał się również w tym dniu do Zosi. Obie z matką były bardzo przestraszone. Wymieniano wszystkich znajomych, którzy już wyjechali lub też mają jeszcze w najbliższych godzinach wyjechać.

Janek pocieszał obie jak mógł i chociaż niewiele znał się na sprawach wojskowych, tłumaczył jednak logicznie, że ci którzy uciekają na południe w stronę Karpat, mogą znaleźć się łatwo w ogniu samych walk, jeśli oczywiście front zatrzyma się na linii Karpat.

Natomiast ci, którzy udają się na zachód w stronę Lwowa, mogą – jeśli wypadki dalej tak się potoczą – spóźnić się i przybyć tam już po Rosjanach.

Droga powrotna nie będzie wyglądać przyjemnie i kto tam wie, jak ułoży się to wszystko. Lepiej więc czekać na to wszystko tu u siebie w domu.

Następnego dnia Janek doznał mocnego wzruszenia na widok kilkunastu członków Związku Strzeleckiego, którzy ubrani w ładne szare mundury kroju wojskowego i jednakowe czapki – maszerowali sprzed gmachu Sokoła na stację, udając się gdzieś w kierunku Mszany Dolnej, gdzie miały się tworzyć zawiązki polskich sił zbrojnych do walki z Rosją.

Nieraz Janek widywał oddziały tej organizacji w czasie ćwiczeń polowych i na strzelnicy za miastem w czasie ostrego strzelania. Podziwiał stare jednostrzałowe karabiny austriackie i oczy mu się śmiały do tego.

Co by to była za radość i szczęście należeć do takiej organizacji i mieć swój karabin – myślał.

Tymczasem pociągi jeden za drugim wciąż odwoziły, przy posępnym wyciu lokomotyw, powołanych pod broń rezerwistów.

Wozy konne z odległych miast wciąż przejeżdżały przez Tłumacz. Siedzieli w nich ludzie przygnębieni i wystraszeni, często z małymi dziećmi i z tym wszystkim, co dało się na wozy te załadować. Po krótkim wypoczynku, ludzie ci udawali się najczęściej w stronę Nadwórnej.

Wojna, mimo wszystko, wydawała się jeszcze jako coś odległego i nieokreślonego.

Kiedy jednak widział zdejmowanie ze starostwa i gimnazjum tablic z orłami austriackimi i napisami i kiedy dyrektor gimnazjum polecił, by wszyscy studenci – w miarę możliwości – zastąpili mundurki gimnazjalne cywilnymi ubraniami, a w każdym razie nie nosili na czapkach żadnych odznak, ani też pasków na mundurkach, wtedy dopiero Janek odczuł, że wojna zaczyna już wkraczać i w jego osobiste życie.

W ciągu następnych dni opuściły miasto starostwo, urząd podatkowy, sąd i żandarmeria.

Miasto pozostało bez władz. Działała teraz tylko Miejska Straż Obywatelska, powołana zaraz po wybuchu wojny, w której służbę pełnili ochotniczo poważniejsi mieszkańcy miasta i młodzież.

Oddziały wojskowe już bardzo rzadko przeciągały przez miasto.

Niekiedy zjawiały się nieoczekiwane patrole huzarów węgierskich i po krótkim odpoczynku – ruszały dalej, przeważnie ku Karpatom, rozpytując się o drogę do Otyonii i Nadwórnej.

Huk armat stawał się coraz wyraźniejszy i jak się wydawało, przesuwiał się wzdłuż Dniestru w kierunku zachodnim – ku Haliczowi.

### Rozdział XIII

Przyszło wreszcie to, co przyjść musiało, a czego wszyscy od szeregu dni oczekiwali, jedni – z niepewności jaka zawisła nad miastem, drudzy – wręcz z ciekawości, a jeszcze inni – po prostu dlatego, że pragnęli jakiejś zmiany.

Jednego poranka, delegacja złożona z kilku radnych i przedniejszych obywateli miasta z burmistrzem na czele, udała się, niosąc białą chorągiew, w stronę Łokutek, skąd oczekiwano nadejścia pierwszych oddziałów rosyjskich.

Za delegacją, z dużym hałasem i śmiechem, posuwała się gromada ciekawych chłopców, którzy też chcieli zobaczyć kozaków.

Zanim delegacja doszła do szkoły przemysłowej, pod którą miało nastąpić spotkanie, miejscowy proboszcz pod pozorem, że cisną go nowe buty, przysiadł nad rowem, by nieco rozluźnić sznurowadła i gdy tylko delegacja nieco oddaliła się, umknął do domu.

Następnie burmistrz spocony i przerażony, daremnie usiłował wetknąć któremuś z uczestników delegacji białą płachtę, ale wszyscy mu odmawiali tłumacząc, że to należy do obowiązku władzy.

Wreszcie ulitował się nad burmistrzem jeden z radnych i przejął od niego tę nieszczęsną płachtę, a tymczasem burmistrz wymknął się niepostrzeżenie z delegacji i chyłkiem popędził w stronę swego domu.

Delegaci dodawali sobie nawzajem otuchy kpinkami i dowcipami.

– Oj! Byłoby to zabawne, gdyby tak zamiast kozaków, nadjechali Austriacy – żartował jeden z nich.

– Przestań z głupimi dowcipami – zauważył inny spośród tych bardziej zdenerwowanych, dodając, że tak czy owak – gdyby wrócili Austriacy, to dadzą im za tę białą płachtę i za tę delegację.

Było pewne, że gdy to oczekiwanie na Rosjan potrwa nieco dłużej, to delegacja stopniowo doszczętnie.

Ktoś ze stojących obok chłopaków wlaź na drzewo i zaraz krzyknął – jada!

Delegacja ustawiła się szybko na szosie, a po chwili w tumanach kurzu ukazał się oddział kozaków, odzianych w czarne włochate peleryny, liczący około pięćdziesięciu ludzi z lancami w rękach i karabinami na plecach.

Pojedynczy jeźdźcy zatrzymywali się co chwila, przecinając druty telegraficzne i telefoniczne.

Tuż przed delegacją oddział zatrzymał się i młody sotnik zgrabnie zeskoczył z konia i zanim ktoś z delegacji mógł odezwać się, zapytał po rosyjsku, czy nie ma w mieście Austriaków, a kiedy dostał odpowiedź, zaznaczył dobitnie, że w mieście ma być spokój, że burmistrz odpowiada za ład i porządek, że jutro przejdą przez miasto większe oddziały kozaków i że należy do dziesiątej rano dostarczyć na rynek cztery tysiące bochenków chleba i możliwie największą ilość owsa dla koni. Za wszystko czyni odpowiedzialnym burmistrza i delegację.

Kowal z dziwnym uczuciem przyglądał się kozakom. Byli to jacyś inni ludzie, zupełnie inny mieli wygląd, mieli też dziwny strój na sobie – duże baranie czapki na

głowach i zupełnie inne uzbrojenie niż żołnierze austriaccy. Nawet konie ich wyglądały zupełnie inaczej. Były małe, nadzwyczaj ruchliwe i zwinne, miały długie ogony, bystre ruchliwe oczy i ciemno-czerwone nozdrza.

Spotkały się ze sobą dwa różne światy – myślał Kowal.

Z uczuciem ulgi wracała delegacja do miasta, natomiast kozacy odetchnąwszy nieco – rozdzielili się na mniejsze oddziały i wyruszyli w różnych kierunkach.

Następnego dnia kilka tysięcy kozaków przeszło przez miasto, kierując się w stronę Stanisławowa i Otyunii ku Karpatom.

W ciągu następnych kilku dni zaczęły przeciągać pułki regularnej jazdy, a następnie piechota i artyleria. Wszyscy rozpytywali, czy daleko do Przemyśla i do Karpat.

Od czasu do czasu słychać było odległy grzmot armat. Gdzieś musiały toczyć się walki.

Szereg sklepów żydowskich w miasteczku zostało rozbitych przez kozaków i doszczętnie obrabowanych przez ludzi przybyłych do miasta z okolicznych wsi.

Po upływie tygodnia zainstalował się wojskowy komendant miasta, a w ślad za tym przybyła żandarmeria i z tym momentem życie zaczęło powracać do normalnego trybu.

Zorganizowano specjalne kuchnie, które codziennie wydawały obiady dla biednych ludzi.

Zaczął się okres okupacji rosyjskiej.

Na prośbę matki Zosi, Janek zamieszkał u nich, gdyż obawiała się bardzo włóczęgów się po nocach żołnierzy, a zwłaszcza kozaków, którzy ukradkiem dokonywali nocami rabunków, zwłaszcza Żydów, poszukując zegarków.

Pewnego razu, kiedy Janek przechodził z Zosią obok apteki, zauważyli dwóch zapóźnionych, jadących konno kozaków, należących do oddziału, który przed jakąś godziną przeszedł przez miasto. Przejeżdżali oni obok apteki i widać było, że są mocno podchmieleni. W tym momencie aptekarz, bardzo otyły człowiek, stał na kamiennych schodkach prowadzących do apteki. Miał na sobie niezapięty surdut, a na aksamitnej kamizelce błyszcząca okazała dość gruba złota dewizka

przeciągnięta od jednej kieszonki kamizelki do drugiej. Zauważywszy to jeden z kozaków napał koniem niemal wprost na aptekarza, zapytując go – która jest teraz godzina? Kiedy zdenerwowany jego natarczywością aptekarz nie mógł wygrzebać z kieszonki kamizelki swego zegarka, kozak pochylił się z siodła i chwycił błyskawicznie za kamizelkę wrywając całą jej przednią część wraz z zegarkiem i łańcuszkiem. Po dokonaniu tego obaj kozacy pogalopowali szybko za swym oddziałem, a kiedy przybyli po chwili żandarmi, skończyło się na zwymyślaniu aptekarza za to, że afiszował się swym zegarkiem i dewizką, jak gdyby nie wiedział o tym, że jest wojna.

Zaczęły się szare, bezbarwne dni, w czasie których nie działo się nic szczególnego, a które po brzegi były wypełnione oczekiwaniem jakichś nieokreślonych bliżej wydarzeń.

Janek całymi dniami pracował z ojcem w kuźni. Roboty było bardzo wiele i zarabiano się też nieźle, gdyż rosyjskie jednostki wojskowe płaciły, każąc sobie tylko podpisywać przygotowane rachunki, w których wartość wykonywanych robót zawsze była podana kilkakrotnie więcej.

Nadeszła zima – bardzo ostra i bogata w opady śnieżne.

Janek pościagał od kolegów, a częściowo zakupił, szereg podręczników szkolnych i oboje z Zosią przeraźliwie licząc się z tym, że jednak prędzej czy później gimnazjum będzie ponownie otwarte i nauka będzie odbywać się normalnie.

Tymczasem, w chwilach wolnych od pracy w kuźni, chodzili oboje z Zosią na saneczki, na tak zwaną Księżą Górę, na którą młodzież uczęszczała gromadnie, nie przejmując się tym wcale, że jest wojna.

Niekiedy w pogodne, słoneczne dni, słychać było wyraźnie głuchy grzmot armat, dochodzący od strony Karpat, gdzie toczyły się zacięte walki o przejścia na Nizinę Węgierską.

Już jesienią, kiedy wkroczyły do Tłumacza wojska rosyjskie, oficerowie i żołnierze mówili, że przejdą przez Karpaty na Węgry, a stąd do Serbii, by pomóc walczącym z Austrią Serbom.

(c.d.n.)

## Tłumacz – „Po zapomnianych ścieżkach” (cz. I)

**Literacko-dokumentalny zarys historii miasta Tłumacza**

**Wyd.: Tłumacz RWK „Złahoda”, 2001 r.**

**Stowarzyszenie Inteligencji „Postup” w Tłumaczu.**

Jednym z najdawniejszych miast na Podkarpaciu jest Tłumacz. Już w XIII wieku pojawiły się o Tłumaczu wzmianki kronikarskie – wcześniej aniżeli o Kołomyi, Lwowie i Stanisławowie. Niemalże 800 lat mija od chwili pojawienia się pierwszych wiadomości o Tłumaczu w dokumentach i 550 lat od momentu, gdy Tłumacz otrzymał „Prawo Magdeburskie”.

Archiwalne materiały, publikacje w periodykach z różnych lat, oraz zdjęcia uzupełniają treść tej książki – ciekawej literacko-dokumentalnej opowieści o niełatwej drodze Tłumacza przez ciernie wieków.

### Przedmowa

Dola miasta, tak jak i dola człowiecza, mają właściwości zmieniania się w czasie. Również Tłumacz przeżywał okresy rozwoju i okresy obumierania, jak miało to np. miejsce w 1661 r., kiedy miasto – wg ówczesnych źródeł – liczyło 3 mieszkańców<sup>1)</sup>.

Tak się składało, że dotychczas o Tłumaczu ukazało się zaledwie kilka niewielkich fragmentarycznych publikacji, w których pisano o dziejach miasta. Jest takie powiedzenie: „Kto nie zna swej przeszłości – nie jest wart przyszłości”. Dlatego Stowarzyszenie Inteligencji „Postup” w Tłumaczu postanowiło wydać książkę o historii swojego miasta. Szczęśliwie się złożyło, że spotkaliśmy się z p. Michałem Budzakiem, który od ponad dziesięciu lat badał historię Tłumacza w archiwach stanisławowskich.



M. Budżak urodził się 29.03.1961 r. w Kułaczkowcach pow. Śniatyń. Ukończył dziennikarstwo na lwowskim uniwersytecie. Jako dziennikarz redagował dział historyczny i kulturalny w tłumackiej powiatowej gazecie „Dnirowska Zirka” (W latach 90. zmieniono tytuł na „Złahoda”).

Był naczelnym redaktorem czasopisma „Ridna Zemla”. Obecnie jest głównym redaktorem w prasie wojewódzkiej – dział leśnictwa. Autor książki o tematyce tłumackiej: *Po zapomnianych ścieżkach, Złote żniwo* oraz zbioru bajek: *Srebrny włos i Zaczarowany orzeszek*. Obecnie mieszka i pracuje w Stanisławowie. W tłumackiej gazecie M. Budżak pracował 20 lat. Historię Tłumacza, w drugim wydaniu *Zapomnianych ścieżek*, starał się pisać w oparciu o źródłowe dokumenty, poszerzając o wiadomości uzyskane z nowo odkrytych źródeł (...)

Książka składa się z 13 rozdziałów, w których przedstawiono historię Tłumacza od 1213 roku – czasu ukazania się pierwszej pisemnej wzmianki o Tłumaczu – do roku 1993. Każdy rozdział poświęcony jest bądź pewnemu okresowi historycznemu, względnie poszczególnym wydarzeniom, które w swoim czasie miały miejsce w Tłumaczu. Czytelnik ma możliwość przekonać się, że maleńkie prowincjonalne miasteczko od 1864 r. do 1875 roku było centrum przemysłu cukrowniczego Austro-Węgierskiej monarchii, a cukrownia w Tłumaczu była największą w Europie. Oprócz cukrowni, wymienia się w 1847 r. tłumacką Fabrykę Maszyn Rolniczych i Mechanicznych. W 1852 r. powstaje w Tłumaczu gorzelnia produkująca spirytus z melasy. Wielkim powodzeniem w całej Austro-Węgierskiej monarchii cieszą się wyroby żelazne (m. in. siekiery) wyprodukowane w zakładzie ślusarskim (w hamarni) Spitzbacha. W mieście istniała wytwórnia fajansów oraz młyny: wodny i parowy, są też urządzenia wodociągowe, oraz kolej.<sup>2)</sup>

W 1813 r. urząd austriacki wydaje zezwolenie na budowę w Tłumaczu szkoły jednoklasowej, której budowa ciągnęła się przez 6 lat. Pierwszym nauczycielem w tej szkole był Terepini. W 1884 r. postanowieniem Rady Szkolnej zmieniono szkołę na czteroklasową, a w 1885 r. poszerzono do 5-ciu klas. W 1897 r. czynne są już dwie szkoły pięcioklasowe: żeńska i męska. W 1911 r. tłumacka szkoła jest sześcioklasowa, a w ciągu roku powstaje szkoła siedmioklasowa. W 1910 r. zostaje otwarte w Tłumaczu gimnazjum z polskim językiem wykładowym. Oprócz Polaków przyjęto do gimnazjum pięciu chłopców narodowości ukraińskiej<sup>3)</sup>. W 1901 r. istnieje w mieście Szkoła Kołodziejstwa. Czynna była również prywatna Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego dla dziewcząt. W 1914 r. została otwarta prywatna szkoła żydowska.

W 1926 r. (sic!) otwarto prywatne rzymsko-katolickie Seminarium nauczycielskie żeńskie księdza Edwarda Tabaczekowskiego<sup>4)</sup>.

Z inicjatywy ojca Tychowicza, przy pomocy finansowej władz miejskich (500 koron) otwarto w 1910 r. wiejską włościańską bursę im. Szaszkiewicza, do której przyjmowano ukraińskich uczniów pochodzących ze wsi. Jeśli chodzi o organizację szkolnictwa w czasie istnienia ZURL<sup>5)</sup>, to z dumą należy podkreślić bardzo wielkie zaangażowanie się ówczesnych władz powiatowych w sprawę oświaty. Oddzielnie należy podkreślić wysiłek inspektora szkolnego Augustyna Dombrowskiego (Dąbrowskiego?), który nie zważając na sprzeciwy niektórych nauczycieli, doprowadził do tego, że już w połowie

grudnia 1918 r. rozpoczęła się nauka we wszystkich szkołach powiatu.

W 1895 r. w wyborach do parlamentu mandat zdobywa Rusin – radny sądowy z Kołomyi Tyt Zajączkowski (...), a w 1907 r. w wyborach do parlamentu austriackiego wygrywa znany ukraiński radykał Z. Baczyński.

Znany działacz polityczny Iwan Makuch w 1907 r. zakłada w Tłumaczu z inteligencji ukraińskiej organizację „Narodnyj Postup” (Narodowy Postęp – przyp. tłum.). Jest to jedna z pierwszych organizacji w Galicji. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX w. w mieście powstało wiele partii i organizacji społecznych. Ukraińcy działali w Ukraińskim Narodowym Demokratycznym Zjednoczeniu – kier. Włodzimierz Czaplński; w Ukraińskiej Chłopskiej Partii Radykalnej – kier. adwokat Makuch oraz w Ukraińskiej Gromadzie – kier. Pawłyna i Makuch. Młodzież skupiała się w stowarzyszeniach: „Łuh”, „Sokoły” i „Ukraińska Biesiada”. Księża i członkowie ich rodzin jednoczyli się wokół towarzystwa „Skala”.

W 1937 r. w Tłumaczu odbył się pierwszy Maryjny Kongres, w którym wzięło udział 60 księży i 30 tys. wiernych.

Polacy zgromadzeni byli w partiach i organizacjach takich jak: Narodowa Demokracja, „Piast” (PSL), Narodowa Organizacja Kobiet, „Rolnik”, Kółko Mleczarskie, Towarzystwo Czeladników. Młodzież gromadziła się w Legionie Młodych i w Towarzystwie Młodzieży Polskiej<sup>6)</sup>. Z żydowskich stowarzyszeń należy wymienić partię BUND, nacjonalistyczne zjednoczenie „BritGrumpeldor”, „Jad Charuzim” i „Kodimag”. W mieście działały dwa największe w okręgu zjednoczenia o komunistycznych poglądach: „Braterstwo” i „Jedność”.

Powstają społeczne organizacje żeńskie. Jedną z nich „Sojuz Ukrainek” prowadziła oświatową pracę wśród kobiecej społeczności, ciesząc się zasłużonym autorytetem nie tylko w mieście (...). W 1927 Towarzystwo to tak przeprowadziło agitację wyborczą, że z partii lewicowej „Selrob” komuniści nie uzyskali ani jednego mandatu.

Należy wspomnieć, że w 1858 r. zarządzeniem władz austriackich Tłumacz otrzymał status miasta powiatowego. W skład powiatu wchodziło 28 gmin, w których mieszkało 31413 ludności, a samo miasto liczyło 2158 mieszkańców. Na początku XIX w., w 1809 r. otwarto w Tłumaczu pierwszą czytelnię, w której zbierała się miejscowa inteligencja (...) W 1860 r. na wystawie artystycznej w Wiedniu wyroby tłumackie (m. in. pisanki) otrzymały medale. W tym czasie w mieście występuje znany śpiewak operowy Galiński. Przez pewien czas zamieszkuje w Tłumaczu artysta Modest Sosenko. W 1808 r. w Tłumaczu urodził się polski krytyk literacki i publicysta Wojciech Cybulski, a w 1876 r. znany dziennikarz i krytyk literacki Ostap Ortwin<sup>7)</sup>. W 1830 r. w Tłumaczu przyszedł na świat ukraiński pisarz Tyt Błoński. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych XX w. z Tłumaczem związane jest nazwisko literata Józefa Turjańskiego, nauczyciela języka ukraińskiego w tłumackim seminarium. (...)

Wartość książki *Po zapomnianych ścieżkach*, w której opisane jest życie polityczno-gospodarcze mieszkańców Tłumacza, polega na przekrojowym przedstawieniu dziejów wiekowego miasta<sup>8)</sup>. W książce tej zapoczątkowano wiele tematów, które wymagają głębszego i szerszego omówienia. Na przykład sprawa „holocaustu” ludności żydowskiej w mieście. Kwestia represji stoso-



wanej przez władze komunistyczne wobec miejscowej ludności pod pretekstem walki z UPA. Świadectwem tych represji są stosy ludzkich zwłok, które odkryto w dwóch studniach obok cmentarza. Fakt ten wymaga również wyjaśnienia.

Historię Tłumacza autor kończy na 1993 r., celowo robiąc przerwę między latami 1993 a 2001. Robi to po to, aby czytelnik mógł sam wiele spraw przemyśleć. Jest to bowiem okres powstania i budowy państwa ukraińskiego i autor daje do zrozumienia, że historia Tłumacza nie zakończyła się i każdy ma możliwość wzięcia udziału i uczestniczenia w jej dalszym pisaniu.

Jeszcze przez długie wieki będzie wschodziło i zachodziło słońce nad naszym starym Tłumaczem. Będą zmieniać się pokolenia jego mieszkańców, lecz w ich sercach zawsze będzie płonęła miłość do tego miasta.

**Jarema Bohajczuk**

Prezes Stowarzyszenia Inteligencji „Postup”  
miasta Tłumacza

Przeł. z ukraińskiego Jan Johnson

Przyp. red. ZT:

<sup>1)</sup> Był to skutek najazdów wojsk obcych i wojska królewskiego.

<sup>2)</sup> W latach dziewięćdziesiątych XIX w. na potrzeby cukrowni zbudowano dwa wodociągi. Linię kolejową na odcinku Tłumacz-Paľahicze oddano do użytku w 1892 r.

<sup>3)</sup> Byli również uczniowie pochodzenia żydowskiego.

<sup>4)</sup> Seminarium powstało w 1924 r. i stanowiło własność Towarzystwa Nauczania Chrześcijańskiego w Tłumaczu. Ks. Kanonik Edward Tabaczkowski był tylko inicjatorem powstania szkoły i jako prezes T.N.CH. pełnił rolę opiekuna zakładu.

<sup>5)</sup> Od 5 listopada 1918 do maja 1919 r.; Zachodnia Ukraińska Republika Ludowa.

<sup>6)</sup> Największą organizacją młodzieżową w Tłumaczu od 1912 r. do 1939 r. było harcerstwo.

<sup>7)</sup> Prawdziwe nazwisko Katzenellebogen.

<sup>8)</sup> W książce – naszym zdaniem – równie dużo miejsca poświęcono zagrożeniom kulturalno-oświatowym.

## Z okresu dwudziestolecia międzywojennego

### Czarnohora – teatr mojego życia

Mieczysław Zdanowicz

„... porwało mnie słońce...”  
(z epitafium rzymskiego)

Urodziłem się we wsi Jezierzany pow. Tłumacz w starej lepionej gliną chacie, o bielonych wapnem ścianach, pod wysokim słomianym dachem. Zdeptany próg drewniany oddzielał dom – moje gniazdo rodzinne od nieznanego jeszcze, lecz bardzo ciekawego świata zewnętrznego. Słomiana strzecha była dobrym schronieniem dla liczного stada wróbli, w której chętnie zakładały swoje gniazda. Była ona również schronieniem dla wielu drobnych, niezliczonych boskich stworzeń. Mnie najbardziej interesowały duże, tajemnicze pająki – krzyżaki. Gdy nadeszła ciepła wiosna i ożywiła z bezruchu muchy i dziesiątki przeróżnych owadów, pająki wychodziły ze swoich zimowych kryjówek i rozpoczynały budowę pajęczej sieci. Swoje łowne sieci, o zdumiewającej konstrukcji, pająki najchętniej tkwały o zmroku. Twórcy tych wspaniałych budowli nie kończyli żadnych studiów na politechnice, a swoje sieci – istne cuda sztuki inżynierskiej – realizowali w rekordowo krótkim czasie jednej godziny.

Urzechony misternym pięknem utkanej pajęczonej i jej wielkimi rozmiarami oraz tajemniczym zachowaniem krzyżaka, postanowiłem zostać jego sprzymierzeńcem. Łapałem w izbie muchy, których nigdy nie brakowało, do garści i wrzucałem je na utkaną pajęczonej. Pająk szybko zrozumiał moje intencje i gdy podchodziłem do wielkiej pajęczonej błyskawicznie spadał ze swej kryjówki i oplatał pajęczonej szarpiające się w niej muchy.

Na Kresach Wschodnich, Wołyniu, Podolu i Pokuciu człowiek nie zagrażał dużemu pająkowi, ponieważ przekazywane z pokolenia na pokolenie ostrzeżenie mówiło,

że zabicie krzyżaka i niszczenie jego sieci przynosi nieszczęście dla domu. Wielkim natomiast zagrożeniem dla naszego pająka i jego sieci były częste burze idące znad Czarnohory.

Czarnohora tworzy główne pasmo górskie Karpat Wschodnich. Górski trzon Czarnohory wsparty jest na swych kończynach o dwa najwyższe szczyty, legendarnego Pop-Iwana na południu i potężnej Howerli na północy. Między nimi ten wyniosły masyw budoj zwarcie uszeregowane liczne szczyty górskie jak Smotrec, Munczel, Szpicy, Turkuł, Dancerz i Breskuł.

Masyw Czarnohora jest bogato rzeźbiony – pocięty i zbrudzony przez liczne kotły i rynny, potężne skoki skalnych stopni, czeluście dolin, zapadlin i urwisk. Pod najwyższym jej pasmem biorą początek Prut i lewo-brzeżne dopływy Czarnego Czeremosza. Od Pietrosa i Howerli aż do Pop Iwana, ostatniej baszty twierdzy Czarnohorskiej na zboczach ciągną się ogromne pierwotne cieniste bory świerkowe z bukiem i jodłą (gdzie promienie słoneczne z trudem ledwie się przedrzeć zdołają). Wysokie drzewa niby kolumny zielonej świątyni sięgające nieomal samego nieba przypominają strzeliste sklepienia arkadów gotyckich, a woń balsamicznych żywic potęguje wrażenie obecności potężnych świątyni.

Na bezkresnej szacie ciemnych borów jaśnieją kwieciste i wonne polany. A ponad lasami – borami, tą pierwotną dziką puszcza, zalega kraina kosodrzewiny, inkrustowana skałami i zwałami kamieni, broniącymi dostępu do wierzchołków. A powyżej nad łąkami kosodrzewiny, jałowca i różanecznika karpackiego, pod samym niebem faluje rozległy, trawiasty ocean zielonych traw. Czasem w pobliżu motyl przeleci, lub w górze orzeł albo kruk skrzydłem zaszeleści. Czasem z połoniny dobiegnie daleki dźwięk tęsknej trąbiły huculskiego pasterza.

Wokół nad tym rozległym dziewiczym Krajem Pierwotnej Przyrody panuje poważna i uroczysta cisza, która pozwala przeżywać wysokość Karpat, dalekim widzeniem i bliskością dotykana nieba.

Gdy zapada powolny zmierzch, a zachodzące słońce zaczyna modelować światłem i kolorem masyw Czarnohory, pod ciemniejącym sklepieniem nieba ukazuje się nowy nieznany Kraj – obraz. Przez miliony lat geologiczne dzieje Czarnohory budowane i kształtowane odwiecznymi prawami przyrody wszechświata stworzyły dzisiejsze piękno jej krajobrazów i różnorodność form i kształtów.

W tym zadumaniu nad odwiecznym biegiem zdarzeń, gdy dopełniały się dzieje Czarnohory, wśród otaczającej Cię wielkiej ciszy posłyszysz dalekie szумы strumyków i ciche z dołu grzmoty wodospadów i wtedy zadasz sobie pytanie – czy schodzić?

### Teatr Czarnohory

Największym spektaklem natury tego regionu świata były z pewnością potężne burze, piękne i groźne zarazem. Poszczególne szczyty masywu Czarnohory gromadziły nad sobą, jakby z kaprysu, małe chmurki, które potężniejąc zawisały nad macierzystym szczytem. Niektóre jednak porzucały swoje szczyty i odchodziły do sąsiednich chmurkach potęgując ich wielkość. Gdy nocą halny nagonił chmury, które szarym walorem przykryły szczyty Czarnohory, później słońce z wielkim trudem z pomocą wiatru odsłaniało gęste kurtyny chmur zakrywające ten długi łańcuch górski.

Oryginalne zjawisko stwarzał popularny Pop Iwan. Często w pogodne samo południe, gdy nad nim nieoczekiwanie zawisła mała chmurka, Pop Iwan rozpoczynał chyba prowokacyjny z nią dialog, ponieważ chmurka odpowiadała bardzo gwałtownie, suchymi trzaskającymi piorunami, nie roniąc przy tym kropel deszczu. Po kilkunastu minutach chmura znikała, a Pop Iwan kąpał się znowu w pełnym słońcu.

Liczne szczyty Czarnohory były powodem częstych burz lokalnych. Wówczas wezbrane chmury, jak gigantyczne bałwany morskie, oblegały wyniosłe szczyty, posyłając im skrzące pioruny i ulewne deszcze. Huk grzmotów sływał na głębokie doliny, jary, przełomy rzek i dalekim echem powracał na wysokie połoniny i szczyty gór.

W czasie lata powstawały burze całego regionu o wielkiej sile. na południowo-wschodnim paśmie Czarnohory Pop Iwan jednoczył swe moce ze Smotrecem i Munczelem a Howerlą z Dancerzem, Breskutem i Pietrossem w północno-zachodnim paśmie z drugiej strony. Następowala powszechna mobilizacja brzemiennej chmur, które jak ciężka i mroczna kurtyna wisiały nisko nad Czarnohorą. Niebo łączyło się z ziemią, a ciemnosine szczyty, jak wielkie fale rozhukanego morza, skamieniałe pod tchnieniem Bożym, biegly w siną dal bez kresu i końca. Czarnohora trzęsła się w posiadach od wielkich piorunów, a oślepiające błyskawice, jak ogniste miecze Sądu Ostatecznego, przecinały niebo i ziemię.

Gdy Czarnohora została zrana ulewnym deszczem i nakłuta piorunami, wówczas oblężenie masywu ustępowało. Ciężkie i ciemne chmury, nadal brzemienne w niezmiernie ilości wody, kierowały się wolno w stronę obniżenia na Pokucie. Po przekroczeniu Dniestru ten wielki wędrowny Teatr Natury wkraczał na Podole i nie tracąc na swej sile i potędze wtaczał się w Krainę Wołynia. Osłabiony już długą i wyczerpującą wędrówką

ten majestatyczny, groźny, a zarazem urzekający Spektakl Natury, dochodził jeszcze do Polesia i tam zatapiał się w rozlewiskach, bagnach i porach Poleskich.

Potężne burze jakie rodziła Czarnohora były największymi burzami środkowej Europy. Gdy znad Czarnohory dochodziły dalekie dudniące grzmoty, pająki krzyżaki pospiesznie naprawiały zerwane pajęczyny, kury, indyki pracowicie szukały pożywienia, ptaki wykazywały zaniepokojenie. Zielone rekotki w ogrodach głośnym rechotaniem zapowiadały rychłe nadejście deszczu, pszczoły w wielkim pośpiechu powracały do swoich uli. Dla gospodarzy – rolników było to wyraźne wskazanie potrzeby przyspieszenia pracy i zwiezienia do stodół suchego siana lub zżętego zboża w snopach. Wozy drabiniaste dudniły i terkotały na drogach, galopem wyjeżdżały w pole, ciągnąc za sobą długie warkocze ulicznego kurzu. Nadchodzące z południa odgłosy potężnych grzmotów przybliżały się stale, potęgując wrażenie nadchodzącego dramatu. Wrony zebrane w stada krążyły niespokojnie nad wioską. Wysoko załadowane snopami wozy żyta, pszenicy lub owsa kołyszące się powoli, wracały z pola do domu. Cała wioska poruszana była nadchodzącą burzą, wszyscy skrzątnie się uwijali. Kobiety pospiesznie związały lniane płótna bielone nad potokiem, chowały wietrzoną na słońcu pościel i bieliznę suszoną na płotach. Jaskółki jak strzały puszczzone z łuku śmigły w powietrzu, by przed deszczem nakarmić muchami pisklęta w gnieździe. Przed samą burzą uderzał nagle silny i porywisty wiatr, był tak gwałtowny, że łamały się wówczas gałęzie i konary drzew, a zrywane liście fruwały jak szalona szarańcza po niebie. Po kilkunastu minutach, gdy wiatr nieco osłabł, z góry lawinowo „posypały” się grube krople deszczu rozbijając się szelestem na liściach i konarach drzew, na drogach i na powierzchni stawu, tworząc istny dywan z kropelek wody. Kto nie zdążył uciec został całkowicie przemoczony. Nierzadko spadał rzęsisty i gruby grad, czyniąc duże szkody w plonach rolnych. Temperatura szybko się ochładzała. Bydło, krowy, cielaki, kozy galopem uciekały z pastwisk do swoich stajen. Do ulewnego deszczu włączały się mocne pioruny, co chwilę niebo przecinane było trzaskającymi mieczami ognia.

\*\*\*

Wiosna owego roku była wilgotna, lato było upalne, a zbiory dorodne. Gdy pierwsze duże krople spadały przed idącą burzą, ojciec zdążył wjechać pełnym wozem żyta do stodoły. Rozpoczęła się wnet obfita ulewa, wszyscy wbiegliśmy do domu chroniąc się przed deszczem i trzaskającymi piorunami. Raz po raz następowały potężne detonacje mocnych piorunów, dom o konstrukcji drewnianej, wypełniony cegłami z gliny ze słomą suszoną na słońcu, dygotał i trząsał się w posiadach. Siedząc na ławach w dużej izbie w ciszy i milczeniu, patrzyliśmy przez otwarte drzwi na ulewę na zewnątrz. Otwarte na oścież drzwi były wówczas ekranem – obrazem, w który magicznie wpatrzni, spokojnie i w pokorze czekaliśmy na przejście burzy. Nieoczekiwanie nad wyraz, następuje potężna detonacja, wszyscy wraz z ławami i chyba wraz z domem podskoczyliśmy do góry z wrażenia i oto po chwili zamarłej ciszy z otwartego popielnika murowanego pieca wyłoniła się ognista pomarańczowa kula. Zamarliśmy wszyscy z wielkiego przestachu i zaskoczenia. Kula tymczasem zachowując wysokość popielnika wolno skierowała się do otwartych drzwi sieni. W zupełnej ciszy przeszła nad pro-



giem, a następnie w sieni pod kątem prostym skierowała się ku otwartym drzwiom na podwórkę i przy zetknięciu się z wodą spływającą ze słomianego dachu eksplozowała. Widowisko wspaniałe, wrażenie niesamowite, do dzisiejszego dnia tęsknię za starym domem strzechą krytym. Od tego niezwykłego wydarzenia matka przed każdą burzą, przezornie zamykała popielnik i wyrzucała na podwórkę wszelkie metalowe przyrządy kuchni i pieca chlebowego: pogrzebaczce, kociuby, koczerby i łopaty. Czasem przy następnych burzach miałem ochotę otworzyć popielnik, lecz surowe spojrzenie matki przywoływało do poniechania wykonania mego pomysłu.

W czasie wielkiej burzy wyjątkowo gwałtowny wicher zwałił stare drzewo wraz z gniazdem bociana. Z dachu sąsiedniej stodoły para bocianów bezradna ze smutkiem patrzyła na zwalone drzewo i zdruzgotane gniazdo. Sąsiedzi byli wstrząśnięci i mocno zaaferowani. Po krótkiej rozmowie postanowili wynieść poturbowane gniazdo i ustawić je na rogu pobliskiej stodoły. Przy pomocy licznych drabin i lin z wielkim wysiłkiem po kilku godzinach pracy ustawili na dachu stodoły gniazdo i następnie starannie zakotwiczyli je. W czasie pracy bociany wielokrotnie przylatywały i krążąc nad stodołą obserwowały pracę gospodarzy. Po wyczerpującej robocie instalacji gniazda strudzeni gospodarze usiedli przed domem na ławach i schodach domu. Bociany usiadły na przeciwległym rogu stodoły i wciąż nieufnie spoglądały w stronę gniazda. Pierwszy pan bociek ruszył w stronę gniazda i bacznie oglądał ze wszystkich stron techniczne jego osadzenie. Ocena okazała się pozytywna i pan bociek rozpoczął porządkowanie poturbowanego gniazda. Po pewnym czasie pani bocianowa przełamała swoją nieufność i zachęcona staranną pracą małżonka przystąpiła również do pracy. Od zarania wieków w tradycji regionu bocian cieszył się zawsze dużą sympatią i szacunkiem, dlatego chłopcy z satysfakcją przyjęli fakt akceptacji pary bocianów, dla ich „inżynierskiej” pracy instalacji gniazda.

Zwalenie drzewa z gniazdem bocianim w konsekwencji znalazło swoje pozytywne znaczenie. Dla bocianów było to bardzo przykre doświadczenie. Sąsiedzi po trudnej instalacji gniazda na stodole odnaleźli możli-

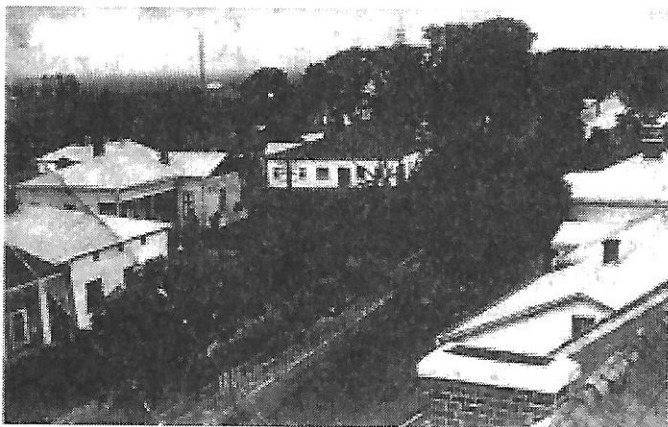
wość bliższych i przyjacielskich stosunków sąsiedzkich. Odtąd często, jeśli im czas na to pozwalał, przychodzili i siadali na ławach podejmując różne tematy. Rozmowom sąsiadów towarzyszył stale bocian „Bartek”, inwalida z ubiegłorocznego wylęgu. Pewnego dnia wypadł lub może został wyrzucony z gniazda i spadając na podwórkę złamał sobie skrzydło. Po wyleczeniu próbowano go dostawić do gniazda, lecz został stanowczo odrzucony. Bartek pozostał więc na dole i stał się doskonałym gospodarzem zagrody; podporządkował i zdyscyplinował wszystkie kury, indyki i perliczki. Pies po otrzymaniu kilku bolesnych kuksańców dziobem, musiał również się podporządkować. Żadna obca kura od sąsiadów nie miała prawa nawet się pokazać, fruwało obficie wówczas pierze. Żaden jastrząb ani kruk nie odważył się na zapolowanie na kurczaki czy kury na dziedzińcu zagrody. Karmił się gotowanymi ziemniakami i kaszą, czasem dostawał surowe mięso. Poza sąsiadami, których znał dobrze, żadna obca osoba nie mogła wejść na podwórkę. Pozwalał jedynie wtedy, jeśli ktoś z domowników wprowadzał obcą osobę do zagrody. Gdy sąsiedzi zasiadłszy na ławie rozpoczęli swoje gawędy, wówczas Bartek podchodził i przysłuchując się rozmowom, porządkował i gładził swoje upierzenie.

Siadając na skraju ławy z dużą ciekawością przysłuchiwałem się gawędom sąsiadów. Jedna opowieść szczególnie podobała mi się, jak to zły gospodarz został surowo ukarany przez bociana. Pewnego dnia ów gospodarz zrzucił bocianie gniazdo ze swojej stodoły. W kilka dni przyleciał bocian z żarzącym się patyczkiem i ustawił go na słomianym dachu stodoły. Wkrótce spłonęła cała stodoła niegościnnego gospodarza. Towarzystwo Bartka i jego przyzwolenie obecności w zagrodzie dawały pełną satysfakcję obecnym i zachęcały do częstych spotkań sąsiedzkich.

Gdy swoją wyobraźnią przestrzenną sięgam do Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, zawsze przed oczyma staje obraz drewnianego Kościoła, domu rodzinnego pod strzechą pomiędzy cerkwią a kościołem i upalne podolskie lata z potężnymi burzami nadchodzącymi znad Czarnohory. □

## O kominie gorzelni tyśmienickiej

Stanisław Pelikan



Mam przed sobą zdjęcie z lat trzydziestych wykonane z dachu budynku Domu Ludowego „Sokoła” w Tyśmienicy. Na pierwszym planie dachy parterowych budynków. Po prawej stronie w głębi, pośród drzew, widoczny wierzchołek kopuły cerkwi „Kokora”. Na lewo w głębi wysoki, samotnie stojący, komin fabryczny. Komin jak komin. Ale i on posiada swoją historię. Oto ona.

W końcu XIX w. właściciele ziemscy Potoccy wybudowali na własnych gruntach w Tyśmienicy dużą gorzelnię. Znajdowała się ona na samym skraju miasta, w jego zachodniej części zwanej Lipy, w niewielkiej odległości (kilkaset metrów) po lewej stronie gościńca prowadzącego do Stanisławowa. W pobliżu nie było żadnych zabudowań, gorzelnia stała samotnie, a wieńczył ją wysoki komin.



Przed I wojną światową zatrudniała ona blisko 200 robotników. Jak na małe miasteczko i fakt, że przeważała tu ludność rolnicza, a także rozwinięte było rzemiosło kuśnierskie, była to liczba dość znacząca.

Przez rodzinne podziały majątki Potockich rozpadły się i przed I wojną światową pozostała niewielka część ziemi z gorzelnią.

Na początku wojny w 1914 r. wojska rosyjskie gorzelnię podpaliły, która całkowicie spłonęła i nigdy już nie została odbudowana. Pozostał tylko komin.

Po wojnie Potoccy resztę ziemi razem z Lipami sprzedali. Część ziemi zakupiło miasto z przeznaczeniem na park.

Od najmłodszych lat pamiętam ten wysoki komin gorzelni. Obok nie było żadnych resztek murów, które by świadczyły o istnieniu tam kiedyś zabudowań. Były tylko potężne, pozapadane betonowe zbrojone stropy dużych piwnic, do których jeszcze gdzieś można było wejść. Zarastało to wszystko mchem, trawą, krzewami.

Na południe od gorzelni biegła droga przez Lipy, łącząca się dalej z gościńcem stanisławowskim. Przy niej było parę zabudowań pp. Słowików, Raczkowskich i Kuklaków.

W późniejszych latach, trochę bliżej gorzelni po jej zachodniej stronie, wybudowane zostało wzorcowe gospodarstwo agronoma Iwana Demczuka, który prowadził plantacje kawonów, melonów, a także różnych gatunków winogron.

Na wschód od gorzelni, a właściwie już tylko komina, rozciągała się w kierunku miasta duża łąka, a na jej końcu, wśród drzew, płynął z południa na północ strumień. Była to odnoga młynówki Strymby, która przed I wojną światową poruszała trzy młyny. Pierwszy z nich mełł zboże tylko dla gorzelni.

Ten duży teren, w perspektywie przeznaczony na park, starano się wykorzystać. Urządzono prowizoryczne boisko, zasadzono alejkę lip., urządzano festyny.

Dla nas kilkunastoletnich chłopców największą atrakcją był komin! Wyznaczaliśmy sobie spotkania „koło gorzelni”.

Do wnętrza komina wchodziło się przez otwór w jego podstawie po wschodniej stronie. Wewnątrz wmurowane były w ścianę grube żelazne szczeble, po których można było wejść na sam szczyt komina.

Kiedyś wszedłem do jego wnętrza, ale gdy spojrzałem w górę i zobaczyłem wysoko okrągły skrawek nieba, i odczułem bardzo silny ciąg powietrza, wyszedłem. Nie odważyłem się na próbę wejścia! Natomiast mój starszy o rok ode mnie kolega Józio Kalebuk wszedł na sam szczyt komina i dla zaznaczenia tam swojej obecności zrzucił z fantazją swoją bluzę, która sfrunęła na ziemię. Himalaista wprawdzie nie został, ale ma na swym koncie ten wysokościowy, dość ryzykowny wyczyn. Wspominamy to obydwa jeszcze do dzisiaj.

Ja nieraz wyrzucam sobie, że nie odważyłem się wejść na szczyt komina. Żal mi tej pięknej panoramy dalekich okolic i miasta, którą oglądali moi koledzy i o tym opowiadali.

Widok był od Horodyszcz z jego błyszczącymi w słońcu stawami aż po Stanisławów i dalej. Całą Ksawerówkę widać było jak na dłoni i pobliski Chryplin. Gdzieś w zachodniej stronie wstęgę Bystrzycy Nadwórniańskiej. Na wschodzie i północy ciągnące się pasma wzgórz z wsiami Pszeniczniki i Podpieczary.

Naturalnie widać było całe miasteczko i przepływające przez nie Woronę i Strymbę z jej młynówkami, a także z jego przedmieściami stanisławowskim i tłumackim i tak zwanymi Zarzeczem, Pastewnikiem, Monasterem, Ameryką, Słobodą, Gajami czy Mokrzcem.

W pogodne dni o wiele wyraźniej i jak gdyby bliżej widniały szczyty Karpat w południowej stronie.

Komin był widoczny z różnych punktów miasta, a z odległości wielu kilometrów kiedy zbliżało się do niego z kierunku Stanisławowa.

Kiedyś w połowie lat trzydziestych w dniu 1-go Maja mieszkańcy miasta ujrzeli powiewającą na szczycie komina czerwoną flagę. Nie wisiąca długo, bo w ciągu dnia została ściągnięta przez jakiegoś dzielnego strażaka. Ktoś w nocy ją tam wywiesił! U mnie w domu mówiono, że to zrobili „komuniści”. Niewiele z tego rozumiałem i było mi to prawie równoznaczne kiedy mówiono „nacjonaści”. W niedalekiej jednak przyszłości życie w sposób dotkliwy i bolesny nauczyło mnie różnicowania tych dwóch pojęć.

Przed wojną, chyba w roku 1938 latem, rozeszła się wiadomość, że komin zostanie zburzony. Była też wyznaczona data kiedy to się odbędzie. Zbulwersowała nas nastolatków ta wiadomość. Jak można burzyć taki piękny komin, nasz komin!!!

Naturalnie z wieloma moimi kolegami i mieszkańcami miasta byliśmy świadkami tego niecodziennego wydarzenia. Prace przygotowawcze rozpoczęto prawdopodobnie już wcześniej (2-3 dni), bo technologia tych prac była żmudna, a jednocześnie prosta.

Nie stosowano żadnych materiałów wybuchowych. U podstawy komina, od jego wschodniej strony, wykuty był podłużny otwór o szerokości około 1/3 obwodu komina, a wysokości około 1 m. Z miejsca skąd oglądałem te przygotowania trudno było mi dokładnie określić szerokość otworu. Kolejno w wydrążony otwór wbijano grube belki w niedużych odstępach jedna od drugiej. W ten sposób podtrzymywały one mury komina.

Praca była ciężka, bo nie stosowano żadnych pneumatycznych świrdrów czy tym podobnych narzędzi. Drażono otwór przy pomocy oskardów, łomów żelaznych itp.

Pracami na pewno kierował inżynier, a brali w nich udział też członkowie ochotniczej straży pożarnej.

Kiedy zakończono prace tj. wydrążono otwór i umocowano belki, z daleka wyglądało to jak otwarta podłużna paszcza z białymi łkami. Belki te podlano jakimś łatwopalnym płynem i podpalono. Paliły się dość długo, aż w pewnym momencie komin zaczął się przechylać na wschodnią stronę i od fundamentów osiadać na swej długości. Leciały pojedyncze cegły, bloki cegieł spojone cementem, aż runął cały znikając z horyzontu! Pozostała ogromna sterta gruzu i długo unoszący się nad nią biały pył.

Zrobiło się jakoś smutno...

Prawdopodobnie decyzję o zburzeniu komina podjęto w związku z przygotowaniami do wojny. Ten bardzo wysoki komin stanowił zapewne jakiś punkt topograficzny, strategiczny.

Koło byłej gorzelni przechodziło się często, skracając drogę z ulicy Kolejowej na cmentarz, do kolonii Ksawerówka czy dalej do Stanisławowa, bądź w kierunku odwrotnym. Ostatni raz znalazłem się koło gorzelni też skracając drogę, ale w sytuacji i scenerii bardzo dramatycznej.

Był kwiecień 1944 r. Trwały walki frontowe pod Tyśmienicą. Około 19 kwietnia do naszego domu, gdzie

przebywało kilka rodzin naszych znajomych, wpadli Niemcy z bronią w rękę każąc wszystkim mężczyznom wychodzić. Było nas pięciu, wraz z moim ojcem, wszyscy kolejarze. W okresie walk frontowych nie byliśmy zatrudnieni. Wyprowadzono nas na ulicę, gdzie w szeregu stało już wielu mężczyzn. Poprowadzono nas na łąkę koło gorzelni, tam ustawiono w dwuszeregu i oświadczone, że w związku z zabójstwem niemieckiego oficera lekarza, wszyscy mężczyźni od 16 do 60 lat zostają zabrani do obozu w Stanisławowie. Zwolniony został tylko mój ojciec, który był zawiadowcą stacji kolejowej Tyśmienica.

Ruszyliśmy potem w szeregach „krótszą drogą” koło gorzelni na gościniec i podążyliśmy do Stanisławowa. Ulokowano nas w koszarach byłego 48 pułku piechoty

strzelców kresowych, które były puste, bo jednostki niemieckie znajdowały się na niedalekim froncie. Brano nas do różnych prac jak grzebanie poległych, noszenie rannych itp. Chyba po tygodniu zjawiał się mój ojciec i w oparciu o posiadany dokument wydany przez władze kolejowe, nas kolejarzy zwolniono. Uruchamiano stacje, a więc byli potrzebni pracownicy.

Wracało nas kilku pieszo ze Stanisławowa i tę drogą koło gorzelni przeszliśmy tym razem w kierunku odwrotnym.

To był ostatni raz kiedy widziałem to miejsce i wspominałem ten ogromny walący się komin.

Teraz znów na zdjęciu, które przypadkiem trafiło do mnie, widzę ten komin w całej swej okazałości, taki jakim go widziałem przed wieloma... wieloma laty. □

## Lata wojenne 1939-1945

### Wspomnienia z wrześniowych dni 1939 roku

Płk w st. spocz. Stanisław Pajęczyński\*



W życiu moim są daty i wydarzenia, które w szczególny sposób wyryły ślad w mojej pamięci. Należy do nich przede wszystkim wrzesień 1939 r.

Nasz bohaterski opór przeciw agresji hitlerowskich Niemiec nie poszedł na marne – zapoczątkował bowiem wielką wojnę międzynarodową z faszyzmem o wolność i demokrację oraz przede wszystkim o byt niepodległy.

Wprawdzie ten niepodległy byt nie był dany wszystkim krajom, a szczególnie Polsce – na pełną wolność i demokrację trzeba było czekać jeszcze około 50 lat.

Wracając jednak do wspomnień z września 1939 r. zacznę od tego, że służba wojskowa od 1939 roku w 17 gnieźnieńskim pułku artylerii lekkiej, wchodzącym w skład 17 dywizji piechoty, o bogatej tradycji walk z okresu I wojny światowej, pozwoliła mi przesiąknąć tą tradycją i nabrać przekonania w myśl zapewnień kół rządzących, że jesteśmy „silni, zwarci i gotowi”. Niestety, mimo wspaniałej postawy całego społeczeństwa i bitności żołnierza Polska przegrała pierwsze starcie. Okazało się, że Polska nie była przygotowana do wojny z tak silnym przeciwnikiem i nie była zdolna do długofalowego oporu, będąc pozbawiona realnej pomocy aliantów zachodnich, którzy porzucili swego sojusznika w potrzebie. Pomimo ilościowej i jakościowej przewagi agresora, zwłaszcza w zakresie broni pancerniej i lotnictwa oraz wobec biernej postawy sojuszników, żołnierz polski, zarówno w obronie jak i w natarciu udowod-

nił swój kunszt bojowy, zaciętość i odwagę, nie kapitulował do końca – chociaż zwyciężony, nie poddawał się. Walory te żołnierz nasz zaprezentował na wrześniowych polach bitewnych.

W czerwcu 1939 roku rozkazem pułku, wraz z moim dowódcą por. Kowalczykiem, zostałem oddelegowany do grupy topografów zorganizowanej na szczeblu Armii Poznań do zadań topograficznych w rejonie prac fortyfikacyjno-obronnych Żnina – przedmieścia Koła. Por. Kowalczyk był dowódcą plutonu topograficznego pułku, ja zaś jego zastępcą w stopniu plutonowego. Praca była ciężka, wymagała dużego wysiłku od obsługi teodolitów jak i grupy rachmistrzów. Zadanie postawione naszej grupie nie zostało do końca wykonane, albowiem w dniu 26 sierpnia została ona rozwiązana i wezwana z powrotem do macierzystej jednostki znajdującej się na zapasowych stanowiskach na zachód od Gniezna.

Po powrocie i zameldowaniu się wróciłem na swoje stanowisko zastępcy dowódcy plutonu. Mój pododdział znajdował się w rejonie zakwaterowania w gospodarstwie niemieckim. Gospodarz i gospodyni byli do nas wrogo usposobieni. Wrogość ich w pełni ujawniła się w dniu wybuch wojny. Podczas przelotu w godzinach rannych samolotów niemieckich nad naszym ugrupowaniem, za pomocą luster, ze znajdującego się w pobliżu zagajnika, przekazywali sygnały lokalizacyjne. Aresztowani i osadzeni w więzieniu w Gnieźnie – jak się dowiedziałem po wojnie – po wypuszczeniu ich po wkroczeniu wojsk niemieckich brali odwet na Polakach.

W dniu 3 września rozpoczęliśmy odwrót w kierunku Września – Konin – Kutno bez styczności z nieprzyjacielem, nękanymi natomiast lotnictwem, a szczególnie w dniu 5 września, kiedy nastąpiło najpoważniejsze z dotychczasowych bombardowań rejonu zgrupowania naszej dywizji. Straty były poważne.

W dalszych działaniach odwrotowych na wschodni brzeg Warty dywizja staczała ciężkie boje przy wsparciu ogniowym 17 pal. Po krótkim odpoczynku, nocą



z 7 na 8 września, dywizja wycofała się do nowego rejonu koncentracji w okolicach Kutna. Wszelkie ruchy wojsk rozpoczynano o zmierzchu, a kończono o świcie. Nie był to zwykły marsz, gdyż wojska pancerne nieprzyjaciela mogły stanąć w poprzek naszej drogi marszu, jak również zaatakować nas z boku. Wymagało to utrzymania pełnej dyscypliny i przeciwdziałanie panice było obowiązkiem dowódców wszystkich szczebli.

W oznaczonym dniu dywizja zajęła rejon w okolicach Kutna, po czym otrzymała zadanie odbicia z rąk niemieckich miasta Łęczycy oraz osiągnięcia południowego brzegu Bzury.

W natarciu na Łęczycę poległo wielu żołnierzy. Ja również omal nie przypałem życiem walki, gdyby nie ślepy traf. Wezwany do dowódcy pułku opuściłem swoje miejsce postoju tuż przed rozerwaniem się granatu, który poczynił duże spustoszenie wśród zgrupowanych żołnierzy, wozów taborowych i koni.

Łęczycą kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk i w czasie tych walk uległa znacznemu zniszczeniu.

Po opanowaniu Łęczycy dywizja, przy wsparciu artylerii, odniosła znaczne sukcesy, opanowując silnie bronioną przez Niemców miejscowość Góra Świętej Małgorzaty i kilka innych osad. W czasie tych walk w dniu 11 i 12 września znaczne sukcesy odniósł drugi dywizjon artylerii lekkiej w walce z czołgami, a szczególnie szósta bateria, będąca moją macierzystą jednostką, dowodzoną przez kpt. Głowackiego, która wykonała napad ogniowy na niemiecką kolumnę samochodów pancernych zapalając 6 spośród nich.

Powodzenie dywizji wykorzystano do dalszego natarcia w bardzo trudnym, otwartym terenie w kierunku Modlin – Celestynowo.

W czasie natarcia drugiego batalionu 69 pp. w jego ugrupowaniu znajdował się d-ca pułku płk Dworzak. Będąc przypadkowo w ugrupowaniu widziałem jak płk Dworzak z łopatką saperską w ręku popędzał uległych pod nawałą ogniwą żołnierzy do natarcia. Jego bohaterska postawa podziałała mobilizująco na żołnierzy, którzy z niespotykaną zaciętością, siłą i pasją zmusili wroga do odwrotu. Żołnierze, chociaż upadali ze zmęczenia, kontynuowali pościg za nieprzyjacielem do późnych godzin nocnych. W walkach tych wzięto sporo jeńców i unieszkodliwiono wiele środków ogniowych, ale zwycięstwo to zostało okupione dużymi stratami.

W dniach 13 i 14 września przerwane zostały walki zaczepne na skutek zaistniałej sytuacji na froncie i poszczególne jednostki 17 dywizji piechoty otrzymały rozkaz wycofania się na Bzurę, dokonania przegrupowania i kontynuowania natarcia w kierunku na Sochaczew, celem otwarcia siłą drogi odwrotu do Warszawy. Do natarcia miały służyć prawie wszystkie siły.

O zmroku 15 września pułki 17 dywizji piechoty rozpoczęły marsz w kierunku wschodnim i w godzinach rannych 16 września osiągnęły rejon Rybna i sąsiednich wsi. W tym dniu około godziny 14 czołgi nieprzyjaciela zaatakowały w rejonie dworu Ruszki, gdzie mieściło się stanowisko drugiego dywizjonu 17 pal. dowodzonego podówczas przez mjr Kraunerwerttera. Zaskoczony ogniem dywizjonu, a szczególnie 6 baterii kpt. Głowackiego, nieprzyjaciel stracił około 22 czołgów i wiele motocykli. W walce tej został poważnie ranny d-ca dywizjonu i kilku kanonierów. W dniu tym w godzinach

nocnych 68 pułk piechoty, sztab pułku 17 pal z drugim dywizjonem wycofał się do lasu Cyprian na pozycje wyjściowe. O świcie 17 września sztab 17 pal i jego drugi dywizjon nie zdążyły jeszcze ulokować się w lesie i zamaskować odpowiednio sprzętu bojowego, kiedy z ziemi i z powietrza zostały wzięte w huraganowy ogień. Las ten miał stać się miejscem całkowitego zniszczenia przebywających w nim żołnierzy i nagromadzonego sprzętu. Był to dla mnie jeden z najokropniejszych dni od początku wojny z Niemcami. Eskadry Luftwafe bez przerwy nadlatywały bombami i ogniem karabinów maszynowych siejąc śmierć. Powietrze w lesie nasycone swądem trotylu i kłębam dymu zmuszało żołnierzy do ciągłej zmiany miejsca, zaś o wyjściu z lasu w ogóle mowy być nie mogło. Był to jawny mord wobec tysięcy żołnierzy znajdujących się w tym rejonie. Las i przyległa do niego szosa w kierunku na Wyszogród przedstawiała jedno cmentarzysko ludzi i sprzętu, a podmuch od eksplodujących bomb i pocisków artylerii rzucały kawałki rozszarpanych ciał ludzkich i końskich w konary drzew. Rzeź taką Niemcy prowadzili bez przerwy od świtu do późnego wieczora. Dla naszego wojska dzień ten, a była to niedziela, był najczarniejszym dotychczas dniem wojny. Grozy, jaką w przeciągu 14 godzin przechodziliśmy, nie można słowami opisać. Wszelkie próby przedostania się do przeprawy w ciągu dnia kończyły się niepowodzeniem. A tymczasem wśród żołnierzy krążyły pogłoski o tym, że fronty po lewej stronie Bzury przestały zupełnie istnieć i rzekomo istniejące rozkazy d-cy Armii Poznań o dowolnym sposobie przedostania się w kierunku na Warszawę. To właśnie spowodowało, że pod wieczór uszkodzono nie rozbity sprzęt techniczny i nocą, każdy na własną rękę, przepawił się wplaw przez Bzurę. W ten sposób nieliczni, i ja wraz z nimi, również przebijając się nocą z bronią w ręku rano dotarliśmy do Puszczy Kampinoskiej.

Rano 19 września dołączyłem do zgrupowania 25 Dywizji Piechoty i w jej zgrupowaniu przebywałem się do Warszawy. 25 Dywizja, jakkolwiek ponosiła duże straty w ludziach i sprzęcie, zdołała przepawić się przez Bzurę w przededniu czarnej niedzieli.

W nocy z 20 na 21 września podczas walk w rejonie Bielán wpadłem z grupą żołnierzy w zasadzkę. Po krótkiej walce, straciwszy kilku żołnierzy, zmuszeni byliśmy się poddać. Niewola trwała zaledwie kilka godzin, ponieważ dalsze natarcie nadciągających wojsk zmusiło do ucieczki Niemców, którzy pozostawili nas na strzelnicy wojskowej w lasku bielańskim. Oswobodzeni, wraz z nacierającymi wojskami, wkroczyliśmy do Warszawy, gdzie otrzymałem przydział do 25 zdekompletowanego pal, który przedostał się z Puszczy Kampinoskiej i w rejonie Żoliborza kontynuował walkę do dnia kapitulacji Warszawy.

W dniu 28 września podpisana została honorowa kapitulacja i zgodnie z nią oficerowie zachować mieli w niewoli białą broń, a żołnierze zwolnienie do domów. Oddziały miały złożyć broń w dniach 29 i 30 września, a następnie zebrać się w wyznaczonych miejscach w celu zorganizowanego opuszczenia Warszawy.

Niestety, tylko część wziętych do niewoli wróciła do domów – reszta trafiła do łagrów rozsianych po całych Niemczech. Szczęście i tym razem uśmiechnęło się do





mnie – dzięki młodej harcerce udało mi się uciec z rampy kolejowej w Radomiu, na której trwał załadunek jeńców do podstawowego transportu.

Tak wyglądał mój wrzesień 1939 roku.

\* Płk Stanisław Pajęczyński rodem z Hołoskwa w pow. tłumackim jest mężem Marii Tabińskiej z Żywaczowa. Obecnie

mieszka w Kołobrzegu, mieście które w marcu 1945 roku zdobywał St. Pajęczyński wówczas chorąży dowodzący plutonem zwiadu 1 baterii haubic 11 pułku 3 brygady artylerii.

Uczestnicy tłumackich zjazdów w Kołobrzegu zapewne pamiętają, jak przed laty „Ciocia Mania” na nasze powitanie przynosiła lody i pieczone przez siebie żywaczowskie pierniki. Pan pułkownik zaś był częstym gościem w ośrodku, żeby snuć bojowe wspomnienia z Tłumaczanami też weteranami ostatniej wojny.

Serdecznie Ich pozdrawiamy życząc dobrego zdrowia i zapraszając do ponownych odwiedzin na zjeździe w Kołobrzegu.

Tłumaczenie

## Kościół pw. św. Anny – tłumaczy księża

# Obrazy sakralne ze Lwowa i z Kresów w świątyniach Wrocławia

Tadeusz Kukiz

Artykuł ten pochodzi z książki pt. „Wrocław – Lwów, Lwów – Wrocław” wydanej w czerwcu 2002 r. Wydawca: Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”. Materiały do tej książki zbierała ona przez 3 ostatnie lata. Wcześniejsza realizacja wydania nie była możliwa, gdyż Ministerstwo Kultury i Sztuki dwukrotnie odmówiło dotacji. Dopiero teraz publikację tę sfinansowało Biuro Promocji Miasta i Współpracy z Zagranicą Urzędu Miejskiego z okazji VIII Dni Lwowa we Wrocławiu. Autor rozdziału pt. „Obrazy sakralne ze Lwowa i z Kresów w świątyniach Wrocławia” dr Tadeusz Kukiz wśród 10 obrazów opisał obraz Najświętszego Serca Pana Jezusa z tłumackiego kościoła pw. Sw. Anny.

Przypominamy również Czytelnikom, że w ZT Nr 1 dr Tadeusz Kukiz opisał wszystkie obrazy przywiezione przez ks. Piszczóra z naszego tłumackiego kościoła, a znajdujące się obecnie w kościołach: w Kątach Wrocławskich i w Siedlakowicach oraz w kościele pw. Św. Doroty, Stanisława i Wacława we Wrocławiu. Przypominamy, że właśnie ten nasz obraz służył w czasie budzących się ruchów wolnościowych „Solidarności” jako miejsce, gdzie eksponowano symbole patriotyczne. W prawej nawie kościoła, przed naszym obrazem, gromadziły się wtedy tłumy wiernych prosząc Boga o zmiany i wolność. Jesteśmy dumni, że obraz z Sercem Pana Jezusa z Tłumacza był świadkiem i patronował historycznym przemianom w Polsce.

Redakcja

Kiedy po drugiej wojnie światowej, w następstwie układu jałtańskiego, polska ludność Kresów Południowo-Wschodnich zmuszona była do opuszczenia stron rodzinnych, ruszając w daleką i niepewną drogę, obok skromnego dobytku zabierała z sobą także te przedmioty, które były znakami jej związku z ziemią ojczystą. Szczególne miejsce wśród nich zajmowały obiekty kultu religijnego, a głównie obrazy Matki Bożej (MB). Ze skarbnicy wieków zabrano niewiele, lecz są to często obrazy cieszące się wielkim kultem, o znacznej warto-

ści artystycznej i historycznej. Dokonano tego z niemałym trudem, poświęceniem, a nawet z narażeniem życia. Jak doniosłe były te działania, świadczą losy dóbr naszej kultury, których uratować nie było można – zaginęły, uległy zniszczeniu lub przeszły w obce posiadanie i nie wiadomo, czy kiedykolwiek uda się je odzyskać.

Uratowane obrazy oprócz pełnienia roli kultowej są dla Polaków z Kresów jakby pomostem łączącym ich z miejscem urodzenia czy pochodzenia przodków i wciąż jeszcze sprawiają, że wysiedleni stamtąd, rozsiadani nieraz po całym kraju, w określonych dniach roku, głównie podczas uroczystości odpustowych, spotykają się w miejscowościach, w których znajduje się obraz z ich parafii czy z ich stron i uczestniczą w nabożeństwach. Można przytoczyć wiele przykładów takich spotkań; we Wrocławiu m. in. w kościele św. Augustyna, gdzie jest obraz Matki Boskiej Hodowickiej, w kościele Dominikanów, w którym znajduje się wizerunek Matki Boskiej Podkamieńskiej, czy w świątyni ojców Jezuitów (pw. Św. Ignacego Loyoli) przy obrazie Matki Boskiej Nieustającej Pomocy z Kopyczynie. Do najbardziej znanych, łaskami słynących Madonn Kresowych, od kilku lat corocznie organizuje pielgrzymki Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Te pielgrzymki i spotkania, to swoisty fenomen wart pracy socjologa i skłaniający do zadumy.

Dzieje kresowych obrazów sakralnych po drugiej wojnie światowej były przedmiotem zainteresowania wielu autorów. Prekursorem był znany historyk Kościoła, wrocławski sufragan ks. bp Wincenty Urban. W swych Szkicach z dziejów archidiecezji lwowskiej i jej duszpaństwa podał zwięzłe informacje o wielu wizerunkach. W r. 1982 ks. Leon Jabłoński, wówczas jeszcze kleryk, opracował pod jego kierunkiem historię kilkunastu obrazów znajdujących się w archidiecezji wrocławskiej (w jej ówczesnych granicach). O kresowych obrazach sakralnych w świątyniach Wrocławia pisał w „Nowym Życiu” Andrzej Lochelson; ich dzieje przedstawił też ks. Józef Mandziuk w książce *Kult Maryjny we Wrocławiu*,

a wzmianki o niektórych obrazach znaleźć można w opracowanym przez tegoż autora i ks. Józefa Patera *Katalogu ruchomych zabytków sztuki sakralnej w archidiecezji wrocławskiej*. Wymieniam tu tylko autorów wrocławskich; od paru lat ukazują się także moje publikacje.

W dziejach tych obrazów zaintrygował mnie fenomen ich przemieszczenia podczas i po drugiej wojnie światowej, dlatego temu zagadnieniu poświęciłem najwięcej uwagi. Ustalenie okoliczności tej translacji jest dziś niezwykle trudne, często brak bowiem na ten temat zapisów, zwłaszcza w odniesieniu do obrazów cieszących się mniejszym kultem. Wojenne i powojenne dzieje poszczególnych obrazów były różne, jak różne w tym czasie były losy polskiej ludności Kresów. Wielu spośród tych, którzy brali udział w ratowaniu wyposażenia kresowych świątyń, już nie żyje, wielu nie pamięta faktów z tym związanych. Ale kiedy udawało się dotrzeć do osoby znającej okoliczności, można było usłyszeć opowieść fascynującą.

Spśród 140 obrazów Maryjnych przywiezionych po drugiej wojnie światowej z archidiecezji lwowskiej oraz diecezji przemyskiej i łuckiej – 10 znalazło się w świątyniach Wrocławia; są tu również obrazy świętych i sakralne rzeźby.

#### **Obraz Najświętszego Serca Pana Jezusa z kościoła w Tłumaczu**

Kiedy w r. 1910 proboszczem w Tłumaczu (24 km na wschód od Stanisławowa) został ks. Edward Tabaczkowski, dokonał tam wielu zmian: przebudował kościół, m. in. podwyższając wieże<sup>1)</sup> i pokrywając je nowymi, barokizującymi hełmami oraz zmienił wyposażenie wnętrza. Sprowadzony ze Lwowa rzemieślnik-rzeźbiarz, Walenty Jakóbiak (!), odnowił pięć ołtarzy i umieścił w nich wykonane przez siebie grawerowane w drewnie i polichromowane obrazy. Jak opowiadał mi ks. Czesław Tuzinkiewicz, jest bardzo prawdopodobne, że twarze postaci są pędzla znanego lwowskiego malarza Stanisława Kaczor-Batowskiego, z którym Jakóbiak współpracował; obrazy zawieszono w sierpniu 1920 r.<sup>2)</sup>

Był wśród nich wizerunek Najświętszego Serca Pana Jezusa, podobno kopia obrazu Serca Jezusowego według Lezerges, znajdującego się do dziś w ołtarzu prawej nawy lwowskiej katedry. W tłumackim kościele obraz Jakóbiaka umieszczony był w ołtarzu przy jednym z filarów po prawej stronie nawy. W każdy pierwszy piątek miesiąca odprawiano przed nim Mszę św. W liście do mnie ks. Tuzinkiewicz pisał: „Ja miałem to szczęście w najbliższy pierwszy piątek po mojej prymicji właśnie przed tym obrazem odprawić Mszę św. (...), więc ks. Piszczór (który przywiózł z Tłumacza znaczną część wyposażenia kościoła) spełnił moją prośbę i podarował obraz mojemu kościołowi św. Stanisława we Wrocławiu” (przy pl. Wolności 3).

Obecnie tłumacki obraz Najświętszego Serca Pana Jezusa nadal znajduje się w tym kościele, zawieszony w ołtarzu prawej nawy. Staraniem dawnych mieszkańców Tłumacza na ścianie tej nawy umieszczono tablicę upamiętniającą ich zasłużonego proboszcza ks. Edwarda Tabaczkowskiego, zamordowanego przez hitlerowców w 1942 r.

1) Na okładce pierwsze wieże przed przebudową kościoła w Tłumaczu i wieże po jego przebudowie.

2) W zbiorach Biblioteki Sejmowej w Warszawie znajduje się obraz Stanisława Kaczor-Batowskiego *Polonia triumphans*, na którym umieścił on dedykację: „Walentemu Jakóbiakowi 1919”.



Ze zbiorów T. Kukiza

*Obraz Najświętszego Serca Pana Jezusa w kościele pw. Św. Doroty we Wrocławiu*



Ze zbiorów T. Kukiza

*Ołtarz z tym obrazem na drugim filarze prawej nawy kościoła pw. Św. Anny w Tłumaczu*



Dziennik pisany (niezupełnie) nocą

## Tajemnica Radosna

(Przedruk z „Dziennika Polskiego” z 15 X 1999 r.)

Edward Śniechowski\*

**Październik jest miesiącem maryjnym, miesiącem różańca. Ta prosta i głęboka modlitwa, chętnie odmawiana indywidualnie i w gronie rodziny, była nigdy bardzo popularna wśród chrześcijańskiego ludu... Zachęcam wszystkich, a w szczególności sposób chrześcijańskiej rodziny, aby podążając codzienną drogą wierności, szukały w różańcu umocnienia i oparcia.**

Jan Paweł II – rozważanie przed Angelus Domini, 25. 10. 1998

Dziś rano (jak zresztą każdego ranka), jeszcze w szlafroku, pobiegłem na ganek, żeby pozbierać listy i posortować je. Listy od rodziny z Polski oraz kartki od przyjaciół z wakacyjnych wojaży są czytane pierwsze, a rachunki za gaz, elektryczność itd. otwieram (jako protest) po kilku dniach. Tym razem zainteresowała mnie dość duża koperta, którą otworzyłem pierwszą. Był to list od Księży Marianów, od Ojca Jana z Fawley Court, w którym zaprasza wiernych do wspólnych modlitw różańcowych w październiku. Ojciec Jan tak pisze: *W naszej wspólnocie zakonnej, jak co roku, będziemy przed wystawionym Najświętszym Sakramentem polecać przez wstawiennictwo Maryi intencje Kościoła powszechnego i nasze własne. Często zwracacie się do nas z prośbami o modlitwę w różnych waszych sprawach, dlatego w tym roku chcemy was zaprosić, abyście te intencje dołączyli do naszej modlitwy...* Do listu dołączona była broszurka wyjaśniająca sposób odmawiania różańca.

Czytając czwartą tajemnicę radosną „Ofiarowanie Pana Jezusa”, przypomniałem sobie, że gdzieś w czełusciach mojej skrzyni antycznej (znanej już moim czytelnikom z innych artykułów) spoczywa od dawna drzeworyt „Ofiarowanie Pana Jezusa w świątyni”. Jest to druk krakowski z XVI wieku (odbitki nieco później z XVI-

wiecznego klocka). Artysta-grafik nieznan. W zbiorach prywatnych i muzeach w Polsce znajduje się jeszcze kilka tajemnic z tego cyklu, ale jak się orientuję, nie ma całego różańca. Mój druk odkryłem w jednym z podrzędnych sklepów ze starymi szyćkami, gdzieś w południowej Anglii. Miejsowości nie pamiętam.

Czwarta tajemnica radosna „Ofiarowanie Pana Jezusa w świątyni” jest oparta na Ewangelii św. Łukasza (2, 22-30). *Gdy potem upłynęły dni ich oczyszczenia według prawa Mojżeszowego, przynieśli Je (dziecię Jezus) do Jerozolimy, aby Je przedstawić Panu. (...) A żył w Jerozolimie człowiek imieniem Symeon. Był to człowiek sprawiedliwy i pobożny (...) Jemu Duch Święty objawił, że nie ujrzy śmierci, aż zobaczy Mesjasza Pańskiego. (...) A gdy Rodzice wnosili Dzieciątka Jezus, aby postąpić z Nim według zwyczaju Prawa, on wziął Je w objęcia, błogosławił Boga i mówił: „Teraz o Władco, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju, według Twojego słowa. Bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie (...)”.*

To piękne opowiadanie z Nowego Testamentu zostało wspaniale oddane przez XVI-wiecznego anonimowego artystę. Patrząc na ten pozółtki druk, przed oczyma, jak na ekranie przesuwają się taki oto scenariusz:

Gdzieś wysoko w skalistych górach, w murach średniowiecznego monasteru, siedzi przy stole, na którym piętrzą się góry zakurzonych ksiąg i manuskryptów, zgarbiony, z długą siwą brodą mnich, trzymając w spracowanych dłoniach dłuto i rzeźbi w klocku z drewna lipowego jeden fragment z Ewangelii św. Łukasza, który przed chwilą przeczytał. Praca jest żmudna, bo chciałby w kawałku tego drewna odtworzyć tę historię jak najlepiej. Powoli wyłaniają się postacie i ozdobne w różańce i różę obramowanie. Jest zmęczony. Mylą mu się numery i litery. Zamiast napisać tajemnica IV, napisał VI, i nawet tego nie zauważył. Kiedy skończył, otarł rękawem pot z czoła, dziękując Duchowi Świętemu za pomoc i natchnienie. Teraz odbitki z jego dzieła pójdą w świat, aby chwalić Maryję.

\* *Tłumaczanin, od wojny mieszkający w Anglii, stał korespondent „Dziennika Polskiego” – cyklu „Dziennik pisany (niezupełnie) nocą”*

## Z tłumackiego powiatu

### Tarnowica Polna – Nowy Waliszów (cz. III)

Danuta Tabińska-Juhasz

Pielgrzymka Waliszowian do swej „Ziemi Obiecanej” do swoich korzeni Tarnowicy Polnej rozpoczęła się o północy 21. 03. 2002 r. Autokar PKS z Jeleniej Góry musiał pozbierać 55 wycieczkowiczów z kilku miejscowości: z Wrocławia, Łagiewnik, Waliszowa Starego i Nowego oraz Bystrzycy.

Uczestnicy wycieczki to urodzeni tam Tarnowiczanie, którzy na taką chwilę czekali pół wieku, oraz ich dzieci i wnuki, którzy z przekazów rodzinnych wiedzieli, że jest to najpiękniejszy zakątek świata, do którego ich przodkowie zawsze wzdychali. Na wstępie zelektryzo-

wała nas smutna wiadomość, nie doczekał zobaczenia swej ziemi rodzinnej Tarnowiczanie Bolesław Szkwarek, zmarł nagle w przededniu wyjazdu.

Chór „Waliszowianie” wybrał się w komplecie i swoimi pięknymi pieśniami umiłował nam całą drogę, nie mówiąc już, jakie wrażenie zrobił w Kołomyi i Tarnowicy.

Organizacja wycieczki spoczywała w rękach zawsze uśmiechniętego Józefa Zaleskiego, radnego miejskiego Bystrzycy. Moja skromna osoba z uwagi na znajomość trasy służyła za przewodnika. Ekipa telewizyjna jechała

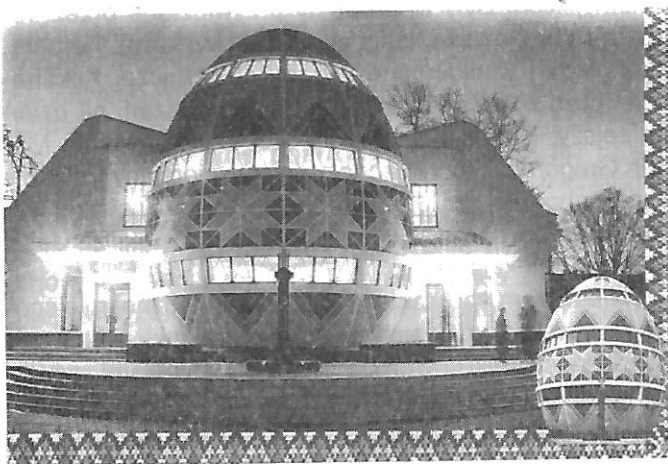


przodem busikiem mając z naszymi kierowcami stałą łączność komórkową.

Muszę tu pochwalić Waliszowian za dobrą organizację. Wiedząc że czeka nas niedziela Palmowa, przygotowali dwumetrową palmę z dolnośląskich ziół i kwiatów, wykonaną przez Marię Kruk; jej roboty były też piękne stroiki – wianuszki na głowach chórzystek. Po poświęceniu palmę ofiarowano kościołowi pw. Św. Ignacego Loyoli w Kołomyi. Dla Towarzystwa Kultury Polskiej im. Stanisława Vincenza w Kołomyi sprezentowali obrazki przedstawiający „Ostatnią Wieczerzę” zakupiony ze składek uczestników pielgrzymki.

Trudno nie wspomnieć o kilkukilowej szynce z kością, zrobionej według przedwojennej receptury, która wzbudziła podziw na wspólnej kolacji, przygotowanej dla nas przez rodaków w Kołomyi.

Podróż przebiegała bardzo dobrze, gdyby nie przygoda w Rohatynie, zatrzymująca nas na ponad dwie godziny. Panowie kierowcy nie uwierzyli mi, że należą przez miasto przejechać prosto, tylko zgodnie z drogowskazem, skręcili w prawo, na objazd centrum. Tu były głębokie wyboje i dziury, jeszcze wypełnione wodą. W podwoziu autokaru urwała się zakrętka od zbiorniczka, co spowodowało brak hamulców. Jednak zgodnie z powiedzeniem, że „Polak potrafi”, panowie kierowcy poradzi sobie z pomocą 10 groszy i gumy do żucia. Ta prowizorka wystarczyła przez cały pobyt na Ukrainie, aż do powrotu do bazy w Jeleniej Górze. Brawo Panowie! Dalej żujcie gumę!!! Tymczasem zrobiło się już bardzo późno, dochodziła druga godzina w nocy, a w kościele w Kołomyi oczekiwali rodacy, żeby zabrać podróżnych na noclegi do swoich domów. Przed samym już miastem przeżyliśmy jeszcze chwilę niepokoju, gdy biały Opel chciał nas koniecznie zatrzymać, a my, pomni na przestrogi, że mafia zatrzymuje autokary i okrada podróżnych, nie chcieliśmy stanąć. Dopiero uspokoiła nas wiadomość wysłana przez komórkę, że to wikary, ks. Stanisław wyjechał, żeby nas pilotować na miejsce. Na drugi dzień, po uroczystej mszy św. w kołomyjskim polskim kościele zostaliśmy zaproszeni do pięknego muzeum huculczyzny, gdzie można było podziwiać tak dobrze nam znaną ceramikę huculską, wyroby z drzewa i skóry, leżniki z owczej wełny i kolorowo zdobione serdaki-kożuszki. Największe wrażenie na wszystkich zrobiło muzeum pisanek, podobno jedyne w świecie. Sama architektura jest zaskakująca.



Podczas pobytu w Kołomyi wycieczka zwiedziła piękne muzeum „Pisanka”

W kształcie piętrowego jaja. Ciekawy, olbrzymi zbiór pisanek z różnych krajów, wykonanych różnymi technikami. Jednak wszystkim spieszyło się do upragnionej Tarnowicy. Tu zaskoczenie: nikt z miejscowych nie słyszał o tej wsi, na ukraińskich mapach też jej nie ma. Jak z Kołomyi tam dojechać pamiętał tylko Bronisław Gacek, który tak pięknymi słowami pisze o tej wsi w swoich wspomnieniach: „...wieś, jaką zapamiętałem, była ostoją swojskości, rodzinnego ciepła, miejscem, w którym tradycja narodowa miała wymiar i sens prywatny. Tarnowica mego dzieciństwa i młodości była wsią niepospolitą, skonsolidowaną wokół kościoła, szkoły, no i oczywiście Ochotniczej Straży Pożarnej, jednej z najstarszych w Galicji (1888 r.). Najdłużej w naszej wsi zachowały się tradycyjne, żywe formy kultury ludowej, które kultywowane są po dziś dzień w Starym i Nowym Waliszowie.”

Jedziemy z Kołomyi na Ottynię, a w Krzywotulach skręcamy w prawo. Napięcie w autokarze rośnie, szykują się aparaty fotograficzne. Janina Suchodolska (córka Krawczyka, wnuczka Węgrzyna) z wypiekami na twarzy, z kamerą w drżącej ręce podchodzi do przedniej szyby autobusu. Od dziecka czekała na tę chwilę. Ze łzami w oczach mówi, że wszystko musi przekazać swoim w domu, gdzie bardzo czekają na jej wrażenia. Z uwagi na zdrowie i wiek, nie mogli wziąć oni udziału w pielgrzymce.

Pan Bronisław Gacek obawia się, w jakim stanie jest mostek na rzeczce przed samą wsią, czy autokar przejedzie. Z dala, na rozległej równinie widnieje parę domów. Jest już drogowskaz do wsi „Tarnowicia”. Po prze-



Tarnowica Polna – przy drogowskazu do wsi

ciwej stronie, na małym wzniesieniu polski cmentarz, a właściwie jego resztki, bez krzyży, zarośnięty krzakami. Tu się zatrzymujemy. Większość poszukuje grobów swoich bliskich. Pan Antoni Szkwarek znajduje deskę, pozostałość po krzyżu, z wyrytą datą i nazwiskiem swego ojca, który zmarł przed samym wyjazdem Polaków ze wsi. On sam był wówczas w wojsku na froncie i nie mógł być na pogrzebie ojca. Teraz jest bardzo wzruszony. Pan Gacek poszukuje miejsca, gdzie kiedyś stał okazały pomnik Nieznanego Żołnierza i gdzie skła-



Tarnowica Polna. Cmentarz. Bronisław Gacek w miejscu gdzie kiedyś stał pomnik Kultu Nieznanego Żołnierza

dano hołd w czasie wszystkich uroczystości państwowych. Zapalają się znicze na odnalezionych grobach i robi się kolorowo od sztucznych kwiatów przywiezionych z Polski dla pozostałych tu na zawsze przodków. Chciano zabrać fragment jednego z rozbitych pomników, żeby ustawić go w Waliszowie ku pamięci. Jednak pod wpływem red. Grażyny Orłowskiej-Sondej postanowiono uporządkować i odbudować cmentarz w Tarnowicy Polnej.

Dojechał do nas ks. Stanisław, wikary z Kołomyi. Postarał się o otwarcie kościoła, kiedyś pw. Św. Marcina, który teraz, ładnie odremontowany, służy tu jako cerkiew grekokatolicka pw. Św. Pokrowy. Ks. Stanisław odprawił modlitwy – różaniec za zmarłych i zabitych byłych mieszkańców Tarnowicy Polnej. Chór odśpiewał pieśni pobożne, a nostalgiczne nuty odbijały się o stare drewniane ściany kościółka. Ludzie opowiadali sobie, że byli tu chrzczeni, a niektórzy jeszcze zdążyli przed wyjazdem przystąpić do I Komunii św. i na schodach kościoła mają wspólne zdjęcia z tej uroczystości. My też



Tarnowica Polna. Drewniana dzwonnica, która przetrwała burze dziejowe i pamięta byłych mieszkańców

na tych schodach robiliśmy zdjęcia. Obok kościoła stoi stara drewniana dzwonnica, z której trzy dzwony w czasie wojny zdjęto w nocy i gdzieś zakopano. Teraz podobno nikt nie wie, gdzie, a może jeszcze nie nadszedł czas?



Tarnowica Polna. Na schodach przed kościołem. Na dole od lewej – Danuta Tabińska-Juhasz, polski wikary ks. Stanisław z kościoła w Kołomyi, Romualda i Bronisław Gacek

Wójt Nowego Waliszowia p. Sołodowczuk poszukiwał studni, w której jego matka przed wyjazdem zatopiła duże żelazne garnki fabryczne, wtedy bardzo cenne - miała przecież niedługo po nie wrócić. Niestety, nie ma już domu, nie ma studni i „dobrze – mówi wójt – że matka tego nie dożyła”. Pod kościół przyszło dużo miejscowych ludzi, witali się z byłymi mieszkańcami i zapraszali do siebie. Wszyscy pozostali do wieczora w swojej wsi, żeby nasycić się wspomnieniami z przeszłości. Ja wróciłam z ks. Stanisławem na plebanię do Kołomyi, gdzie miałam nocleg u sióstr zakonnych. Po drodze dowiedziałam się od księdza o projektach rozwoju Kościoła rzym.-kat. dotyczących Obertyna i Tłumacza.

Drugi dzień to niedziela Palmowa, to msza św. i wzruszające modły i śpiewy na przemian miejscowego chóru „Wolumen” i „Waliszowian”, to piękne słowa księdza do pielgrzymujących gości z Polski. Po mszy był zaplanowany wyjazd na zwiedzanie Jaremca, ale z uwagi na pogodę (rozpadał się mokry śnieg z deszczem) z wyjazdu tego zrezygnowano.

Część wycieczkowiczów prywatnie wybrała się ponownie do swojej Tarnowicy. Ja z kierowcami włączyłam się w szykowanie paczek wielkanocnych dla rodaków kołomyjskich. Były to produkty przywiezione przez Telewizję Wrocławską, takie jak konserwy, kawa, herbata, czekolady i wielkanocne wyroby cukiernicze. Kilkanaście toreb zostało odłożonych dla Tłumaczan, na dzień jutrzejszy. Sponsor tych słodkości to kresowianin Marian Gregoras, już niejednokrotnie wspierający Polaków zza wschodniej granicy. Teraz uczestniczy w naszej wycieczce i bardzo wszystko przeżywa. Dzięki za Jego kresowe miękkie serce.

Wieczorem spotkanie w sali katechetycznej miejscowych Polaków z uczestnikami pielgrzymki. Długi stół był pięknie udekorowany z pysznymi sałatkami, rybkami, wędliną i wypiekami. Wszystko własnej roboty rodaków (produkty z plebanii).

Ta duża sala ma profesjonalną scenę, gdzie cały wieczór, aż do późnych godzin nocnych, trwały wspólne występy artystyczne. Pod wpływem pięknych starych



pieśni oraz pieśni patriotycznych wszyscy byli wzruszeni, a atmosfera panowała jak w dużej kochającej się rodzinie. Żal się rozstawać! Jednak nastąpiło to rano w poniedziałek po pożegnalnej mszy św.

W drodze powrotnej zbczyliśmy do Tłumacza, zatrzymując się przed nowowytudowaną olbrzymią cerkwią. Tu od dwóch godzin oczekują umówieni polscy Tłumaczanie. Od Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan mam dla nich małe wsparcie finansowe i wielkanocne paczki oraz dużą torbę z używaną odzieżą. Niestety, wszystko odbywa się przy autokarze i przy bardzo złej pogodzie, ale czas powrotu nagli. Ostatnie uściski i prośby o przekazanie od nich życzeń zdrowia i podziękowań za pamięć. Właśnie tutaj je przekazuję.

W międzyczasie pół autokaru zaopatrzyło się w świeży, czarny tłumacki chleb w sklepie, który stoi na miejscu dawnej poczty. Tarnowiczanie oglądali chętnie swoje dawne powiatowe miasto – miasto śródownych targów, wszystkich urzędów, gimnazjum i „Sokoła”. Busik z ekipą telewizyjną pozostał w Tłumaczu, żeby jeszcze nagrać reportaż z Józefą Maczulską, mieszkającą w ciężkich warunkach. Niestety, „troskliwi” sąsiedzi wezwali milicję, która przerwała filmowanie. Jednak fragment reportażu był w „Studio Wschód” po powrocie wyemitowany. Red. Grażyna wraz z ekipą dogonili nasz auokar dopiero na granicy, gdzie w ogromnej kolejce przyszło im oczekiwać osiem go-

dzin na powrót do Polski (autobusy przepuszczali bez czekania).

Tymczasem my mamy jeszcze jeden przystanek w Stanisławowie. Przekazujemy polskiej szkole paczki ze słodyczami wielkanocnymi dla dzieci i pomoce szkolne.

Dopiero pod wieczór jesteśmy we Lwowie. Jeszcze udało się naprędce zobaczyć Cmentarz Łyczakowski i Orląt Lwowskich. Krótki postój w centrum, gdzie przy zapalonych latarniach ulicznych Lwów wydał się bardzo tajemniczy. Wszystko przebiegało sprawnie dzięki taksówkarzowi, który pilotował nas przez miasto za nieduży składkowy ekwiwalent. Tu po wojskowemu rządził kol. Bolek z Dzierżoniowa. Brawo! Na odprawę graniczną i przejazd przez Polskę zeszła nam cała noc. Mało kto jednak spał, nastrój był wesoły, wspomagany „prezentami wyskokowymi”, śpiewy, żarty i wymiana wrażeń. Stwierdzono, że po dawnej wsi pozostała 1/3 domów zamieszkała obecnie przez Ukraińców i przesiedlonych tu Łemków z akcji „Wisła”. Wspominano też przepowiednie Filipka, który twierdził, że w niedługim czasie będą mogli bez żadnych przeszkód jeździć do swojej ziemi, a w Rosji będzie tak dobrze, że ludzie z Ukrainy będą tam jeździć na zarobek jak kiedyś do Ameryki. Tak przed wieloma laty tarnowicki jasnowidz przewidział naszą wycieczkę. Faktycznie wracaliśmy bez przeszkód. Jednak dla wielu była to podróż życia, której nigdy nie zapomną. □

## Z życia Tłumaczan

### Nasze powroty...

Irena Pełech-Ruszel

Co roku, wierni swemu przyrzeczeniu Tłumaczanie, ludzie o sentymentalnych sercach spotykają się w Kołobrzegu, nad naszym polskim Bałtyckim Morzem.

Większa część uczestników mieszka dość daleko od Kołobrzegu, ale mimo tych odległości i podeszłego wieku starają się być obecni na tych spotkaniach. Jesteśmy jak ptaki wędrujące, które w odpowiedniej porze roku przylatują na przeznaczone im miejsce w Kołobrzegu. Można by zapytać w tym miejscu, co łączy tych ludzi, jaki cel przyświeca Tłumaczanom, tym już pochylonym nieco ku ziemi?

Zawsze witają nas organizatorzy wczasów, jest też obecnie kierownictwo ośrodka.

Gdyby tak ktoś postronny posłuchał tej naszej śpiewnej i jakże kochanej przez nas wszystkich mowy, pomyślałby, że to jedna wielka rodzina, która w tym dzisiejszym przewrotnym i niebezpiecznym świecie zachowuje się inaczej. Tak, to prawda, nas bowiem łączy niepowtarzalna więź, więź która jednoczy wszystkich Tłumaczan rozproszonych po całej Polsce i nie tylko. Na te spotkania przyjeżdżają również Tłumaczanie z innych państw, a nawet z drugiej półkuli.

Dla postronnych jesteśmy pewnego rodzaju ewenementem, dziwolągami.

Nasze powitania mają zawsze miejsce przez kilka dni, a potem, gdy nasycimy swoją ciekawość wiadomo-

ściami, życie w Ośrodku przechodzi do normalności. W domkach odbywają się odwiedziny. Od czasu do czasu można tu też usłyszeć młodzieńcze wybuchy śmiechu i „ryki”.

Kiedy nasze „naczalstwo” ogłasza, że wieczorem będzie ognisko, wiadomość ta wprowadza zawsze gorącą atmosferę. Panowie zbierają chrust na ognisko, a panie przygotowują „toaletę wieczorową”, tj. ciepłe szale, swetry itp. Ognisko dla nas Tłumaczan jest dużym przeżyciem, ono nas spaja, śpiewane pieśni przybliżają nam nasze ojczyste strony i młodzieńcze lata, gdzie byliśmy tak szczęśliwi i beztroscy.

My ze starszej generacji staramy się przekazywać naszej młodzieży, chociaż część tego, co pozostało na Kresach Wschodnich. Przywodzimy na pamięć naszych kochanych rodziców, którzy nauczyli nas wszystkiego, co dobre, jak: miłość do Boga, Ojczyzny i do bliźniego.

Z pobliskiego lasu jak zwykle pojawia się „Cyganka” (to autorka) i wprowadza znowu inny nastrój. Potrafi naśladować Cyganów, bo, jak opowiada, wiele lat miała ich za sąsiadów.

Po odejściu „Cyganki” znowu smutne myśli, za dwa dni rozstanie. Tyle było opowiadań, a przy pożegnaniu okazało się, że mamy jeszcze tak dużo sobie do powiedzenia. Najśmieszniej, że już przy wyjeździe niektórzy zapewniali, że jutro wyślą list, gdyż „nie skończyli wszystkiego opowiedzieć”. Odjeżdżamy jak zwykle ze łzami w oczach obiecując sobie spotkać się w następnym roku. □





Gaju, ale takie miał przekonanie i z tego powodu był niezmiernie rad.

Zaraz po iluzorycznej radości z powodu pozostawienia na gospodarce w Gaju spotkał Antoniego Jana bolesny cios: 13 kwietnia córkę Mariannę, moją Matkę, wraz z dziećmi wywieziono do Kazachstanu, a jej dom w Stanisławowie wkrótce znacjonalizowano. W Gaju natomiast wszystko szło prawie normalnie. Dopiero we wrześniu 1940 roku okazało się, że władza radziecka pozwoliła w Gaju gospodarować, ale postawiła wymagania: nie tylko opłacić podatki, ale i oddać w terminie wyznaczony kontyngent zboża. Antoni Jan spóźnił się z dostawą o 1 dzień, bo okoliczni chłopcy nie chcieli przyjść do roboty, a fizyczna pomoc syna i synowej przy omlotach nie wystarczyła, aby do 8 września oddać cały kontyngent. Za to spóźnienie został 9 września aresztowany, a 13 postawiony przed sądem w Tyśmienicy pod zarzutem sabotażu – zarzucono mu, iż zamierzał wygłodzić całą Tyśmienicę przez niedostarczenie zboża w terminie. Zasądzono go za to na 7 lat ciężkich robót na Syberii i przewieziono do więzienia w Stanisławowie, a żonie, czyli mojej Babci, kazano spłacić zaległy podatek. Gaj natomiast skonfiskowano i dotychczasowych służących, Nastkę i Dmytra (nazwisk nie pamiętam, a najpewniej nigdy ich nie znałem), uczyniono zarządcami. W niedługim czasie Gaj przekształcono na pomocnicze gospodarstwo jednostki lotniczej stacjonującej w Markowcach i zapewne z tego powodu został on nieco zmodernizowany technologicznie – sprowadzono jakieś maszyny rolnicze i założono ciepłarnię.

Na Syberię do robót Antoni Jan nie został powieziony: siedział w stanisławowskim więzieniu, znosił upokorzenia ze strony nie tylko władz więziennych, ale i współwięźniów-kryminalistów i nie zgłaszał się, gdy wyczytywano przeinaczone jego nazwisko: Dziedzikiwicz, Dzieńdziewicz itp., a gdy wyczytywano poprawnie, pokazywał swoją sztywną prawą rękę i po krótszych lub dłuższych wahaniach służby więziennej wracał z powrotem do celi. Przesiedział tak 9 miesięcy, prawie do końca czerwca 1941 roku. Dnia 24 lub 25, gdy zauważono, że na wieżyczkach wartowniczych nie ma nikogo, więźniowie zorientowali się, że niezwykła Krasnaja Armia dała drapakę przed Niemcami i cały personel więzienny uciekł razem z nią. Korzystając z takiej niepowtarzalnej sytuacji więźniowie porozbijali drzwi swoich cel, wyszli na korytarze i schody, ale masywnej bramy wejściowej do budynku nie byli w stanie sforsować. Udało się za to wyłamać kraty w oknie na półpiętrze i tamtędy skakali „ku wolności”. Antoni Jan był osłabiony ostatnio przebytą chorobą, ale wraz z innymi wyszedł z celi i zszedł na dół. Już na schodach porwała go fala ludzka i poniosła do okna, a tam niemal bezwiednie został wypchnięty „na wolność”; skoczył w dół, poczuł uderzenie świeżego powietrza i zemdlął z osłabienia. Gdy ocknął się, pod oknem nie było już nikogo, na podwórzu więziennym też, a brama na ulicę była na oścież otwarta, zaś na ulicy żadnego przechodnia – oczekiwano wkroczenia Niemców.

Chyłkiem pod płotem przeszedł z trudem do rogu ulicy Bilińskiego, przy której było więzienie, potem Gołuchowskiego do końca i skierował się do domu swej



*Autor z żoną obok miejsca, gdzie ongiś stał domek dla fernali w Gaju (por. foto na s. 8 w Nr. 25 Zeszytów Tłumackich)*

siostry Stanisławy, która mieszkała na Belwederze przy ul. Zamkniętej 5; dotarł tam bez przeszkód, ulice były wyludnione – w parę godzin potem wojska niemieckie zajęły Stanisławów. Stamtąd za kilka dni na ramie roweru syn Mieczysław przewiózł go do Tyśmienicy, do siebie. Gdy jako tako doszedł do siebie po więziennych przeżyciach, Antoni Jan po kilku dniach wszczął starania u władz niemieckich o odzyskanie Gaju; w owym czasie w Stanisławowie i okolicy, w Tyśmienicy również, stacjonowały i sprawowały wojskową władzę jednostki węgierskie, przyjazne Polakom. Bez problemu Gaj przeszedł w ręce prawowitego właściciela, bardzo ogołocony z bydła i koni, a także zboża, ale Antoni Jan z otuchą zabrał się do gospodarowania; pomagał mu w tym syn i synowa. Oczywiście, nie obywało się bez wojennych rekwizycji, ale to nikogo nie dziwiło – w czas wojenny jest to rzecz normalna.

W sierpniu 1941 r. nowy cios spotkał Antoniego Jana – w niedzielę 24-go w Gaju Gestapo na czele sfory ukraińskich milicjantów aresztowało syna Mieczysława Michała i wraz z tyśmienickimi nauczycielami wywiozło do Stanisławowa, a potem po wszystkich słuch zaginał. Ludzono się, że osadzeni zostali w jakimś obozie koncentracyjnym – dopiero znacznie, znacznie później okazało się, że wszyscy oni, i nie tylko, zostali zastrzeleni w Czarnym Lesie pod Pawelczem niedaleko Stanisławowa. Antoni Jan z trudem, nawet bardzo wielkim, gospodarował nadal w Gaju; na wiosnę 1942 roku na tyśmienickim cmentarzu obok teścia pochował teściową Katarzynę z Sabatów Traczową.

Gospodarował tak do 26 marca 1944 roku – w tym dniu bowiem, ostrzeżony przez Marysię Macapurę, Rusinkę od lat posługującą u syna w Tyśmienicy, pozostawił Gaj na łasce boskiej i prawie z niczym, a tylko ze ślubną Zofią, schronił się u synowej – istniała bowiem groźba wymordowania przez bandę ukraińską. Stamtąd, dwa dni później, z podwórza domu w Tyśmienicy, oddalonego od Gaju około 4 km w linii prostej, wieczorem

o 9-tej w dniu 28 marca oglądał lunę, jaka nad Gajem się rozpostarła; nazajutrz dowiedział się, że Gaj został doszczętnie spalony, a z pożogi ocalał tylko domek dla furmanów przed wjazdem (widoczny na fotografii w artykule *Rabunek w Gaju* w „Zeszytach Tłumackich” Nr 25, s. 8) i drzewa owocowe. Czy zgłiszcza te Antoni Jan oglądał własnoocześnie – nie wiadomo; raczej nie, bo w opowieściach o spaleniu Gaju wątek oglądania pogorzelska nie pojawia się nigdy. Po kilku dniach wraz z małżonką wyjechał do Drohobycza, gdzie zatrzymał się u swojej siostry Olgi Bronisławy, wdowy mieszkającej przy ul. Poprzecznej 7. Dopóki jeszcze byli tam Niemcy, dostawał jakieś zaopatrzenie emerytalne, nazywane przez władze zapomogą; po radzieckim „wyzwoleniu” tych terenów został bez środków do życia. Z czego wówczas żył – nie pamiętam, ale żył więcej niż bardzo skromnie.

Po repatriowaniu się na Ziemię Zachodnie Antoni Jan otrzymał rekompensatę za Gaj w postaci 10-hektarowej części gospodarstwa poniemieckiego w Solicach (obecnie: Szczawno Zdroju), później okrojonego do 6 ha. Rekompensaty tej nigdy nie uważał za zadośćuczynienie za Gaj, za którym do końca życia tęsknił i o którym przy łada okazji wspominał. Zmarł 25 września 1965 roku w szpitalu w Wałbrzychu; pochowany został na cmentarzu na Piaskowej Górze.

\*\*\*

W sierpniu 2002 roku wybrałem się z wycieczką na Kresy Południowo-Wschodnie z myślą odwiedzenia miejsc, utraconych w dzieciństwie. Dnia 5 sierpnia taksówką ze Stanisławowa pojechałem z żoną do Tyśmienicy i do Gaju. Już z szosy, nie dojeżdżając do Tyśmienicy, spomiędzy przydrożnych drzew wypatrzyłem po lewej stronie zadrzewiony masyw na wzgórzu – *To jest Gaj!* – powiedziałem do żony, pokonując wzruszenie. W miejscu, gdzie ongiś była figura św. Jana, a obecnie jest pseudopomniczek ku czci jakichś żołnierzy, poprosiłem o skręcenie w lewo; była to ul. Olszanicka, obecnie Wilszanycka (tak samo, tyle że po ukraińsku). Przez te 63 lata, gdy byłem tu ostatnio, nawierzchnia ulicy wyasfaltowała, zagrody przy niej wymurowały i straciły słomiane strzechy, ale urok tego miejsca pozostał prawie taki sam. Most na Woronie prowadzący ku Słobodzie, niegdyś drewniany, nie przypominał poprzedniego, a rzeka wydała się o wiele węższa i bardziej drzewami obrosła.

Za mostem pojechaliśmy w górę drogą na Miłowanie, potem od niej odbiliśmy na Olszanicę i wtedy ze zdumieniem skonstatowałem, że po zabudowaniach Władzia i Herausa (por. zdjęcie Gaju w artykule *Rabunek w Gaju* w „Zeszytach Tłumackich” Nr 25, s. 8) zostało tylko miejsce, ale dość wyraźne. Zaraz po tym odbiliśmy na polną dróżkę na Podpieczary i na próżno usiłowałem wypatrzeć domki dla fernali, jaki ocalał z pożogi w marcu 1944 r. (por. zdjęcie w *ZT* Nr 25, s. 8); po domku nie było ani śladu, ani też nie został ślad, gdzie stał. Młodego sadu, sadzonego przez Dziadka w 1937 roku, rozciągającego się wzdłuż drogi do Olszanicy, też nie było; było na tym miejscu pole obsadzone kukurydzą i ziemniakami. Dotarliśmy do zadrzewionego masywu, który już z szosy zidentyfikowałem jako Gaj.

Z drożyny na Podpieczary skręciliśmy na zupełnie zarosniętą trawą ślad dróżki, niegdyś prowadzącej do Gaju; brama wjazdowa do Gaju znajdowała się w odległości 3-4 m od tej drogi – dzisiaj po bramie nie ma śladu, a ponad moje możliwości było ustalenie, gdzie ona się znajdowała. Zatrzymaliśmy się w tym miejscu, bo taksówkarz, p. Dmytro..., nie kwapił się wjeżdżać w zarośla. Wyszedłem z taksówki i poszedłem na miejsce, jakie pozostało po domku furmanów – nie był on spalony w marcu 1944 roku, ale jego śladu nie odnalazłem w sierpniu roku 2002. Z grubsza tylko określiłem miejsce, gdzie prawdopodobnie stał, bo zaraz obok rosła jabłoń, szara reneta, pod którą p. Dmytro zrobił mi zdjęcie wraz z żoną.



*Nowowzniesiona figurka w Gaju*

Zaraz za niegdyśszą bramą wjazdową po lewej stronie zaintrygował mnie obiekt, który był mi zupełnie obcy: była nim figurka Matki Boskiej spoczywająca na kwadratowym postumencie o boku ok. 1,5 m i wysokości ok. 1/2 m i ochraniająca konstrukcją ze szkła; u stóp figurki było kilka zwiędniętych kwiatów. Obiektu tego w roku 1939 na pewno tam nie było. Była natomiast figurka Matki Boskiej, łudząco podobna do tej, jaką teraz oglądałem, ale na innym postumencie – wysokim na ok. 1 m i zwężającym się ku górze, u dołu mającym ok. 40-50 cm – i niemalowana. Obiekt ten robił wrażenie niedawno postawionego – nie wydaje mi się jednak, aby był nawiązaniem do figurki znanej mi sprzed wojny i wątpliwe, aby w jakiś sposób nawiązywał do tragedii Dziedziniewiczów, ostatnich polskich właścicieli tego majątku; być może jest to upamiętnienie jakiegoś tragicznego zdarzenia z zupełnie niedawnych czasów, jakie zdarzyło się w tym miejscu.

Zarosnięta bujną trawą droga wjazdowa do Gaju wzbudziła u mnie myśl, iż Gaj może nie być zamieszkały, acz trudno było pogodzić się z taką myślą – prze-



cież był to obiekt niepośledniej kategorii. I minęło już 58 lat od spalenia tutejszych zabudowań – ktoś powinien chyba korzystać z tego, co pozostało po Gaju. Wśród bujnie porośniętej trawy z dużym przybliżeniem udało mi się, takie mam przekonanie, określić miejsce, gdzie była ongiś nowa stodoła, wozownia i stara stodoła oraz bróg, które – wraz z płotkiem przy nowym sadzie (zob. szkic: zabudowania Gaju) wyznaczały granice majdanu, czyli gumna (w literackim języku). Otóż na tym gumnie, na którym w 1939 roku tylko gdzieś śladowo porastała kilkucentymetrowa trawka, teraz pleniły się ponad metrowej wysokości chaszczki poprzeplatane zielskiem, sięgające mi po szyję i splątane ponad wszelką miarę, przez które przebrnąć udało mi się z dużą trudnością; mojej żonie przejść się nie udało.

Po przebrnięciu tego zarośniętego gumna straciłem rozeznanie, gdzie się znajduję – nic nie przypominało mi obrazów utrwalonych w pamięci sprzed 63 lat. Z grubsza tylko ustaliłem, gdzie mogła się znajdować stajnia, za nią obszerny gnojownik i nowy spichlerz. Zszedłem nawet nieco w dół, bo taka tam była konfiguracja terenu, i wyszedłem na południowy skraj zabudowań Gaju, ale żaden szczegół niczego mi nie przypominał. Nie spotkałem żywej duszy, żadnego śladu bytności ludzkiej, nawet ptasich pokrzykiwań nie usłyszałem – było zupełnie cicho, a ja zupełnie sam, twarzą w twarz z drzewami, które na pewno kiedyś mnie tutaj oglądały. Chwilami doznawałem wrażenia, iż zstąpiłem w bajkę o *Zaczarowanej Śpiącej Królownie* i jestem w pałacowym-gajowym ogrodzie, gdzie wszystko oprócz mnie – postaci nie z bajki – pogrążone jest w głębokim śnie, a ja nie znam chwili przebudzenia się tego wszystkiego.

Poszedłem w kierunku zachodnim, gdzie ongiś był ogródek kwiatowy, a przy nim budynek mieszkalny – nie rozpoznałem niczego: wszystko zarośnięte wysokimi, trudnymi do przebrnięcia chaszczami, teren przydomowego podwórca zarośnięty nie tylko takimi chaszczami, jak na gumnie, ale dodatkowo jeszcze jakimiś krzewami. Na terenie dawnej pasieki pleniły się tylko trudne dla mnie do zidentyfikowania krzaki. Dalej, zapewne już na terenie starego sadu, którego granic nie byłem w stanie ustalić, poza podwórcem, natknąłem się na niewielkie mokradło, które ongiś było stawkiem dla gęsi, teraz zarośniętym jakimiś szuwarami. Gdzieś w głębi swojego jestestwa – serca, duszy czy pamięci – byłem przygotowany usłyszeć Babcine: – *Taś, taś...* – zawołanie na gęsi, ale niczego nie usłyszałem; było przeraźliwie cicho. Śladu znajdującej się w pobliżu studni, takiej z kołowrotem, zadaszonej i ocembrowanej, nie udało mi się odnaleźć.

Poszedłem dalej w stary sad. Wielu drzew już nie było, pozostały po nich rozległe trawiaste polany, ale po powalonych drzewach śladu nie było. Ktoś na tych polanach wykaszał trawę, bo gdzieś stały jeszcze kopki siana. Wszędzie na drzewach obficie widniały jabłka, w większości dorodne, acz zdarzały się jabłonie z niezbyt dorodnymi owocami – zdziczały. Grusze i orzechy włoskie, jakich w Gaju nie było zbyt wiele, demonstrowały swoje owoce. Pod wczesnymi jabłoniami deptałem opadłe jabłka, w większości podgniłe – nie podniosłem żadnego, aby spróbować. Obrazy z prze-



Oczekujące na przebudzenie drzewa w Gaju

szłości z tym miejscem związane do tego stopnia przenikały się z obrazami teraźniejszymi, jakie oglądałem na jawie i utrwalałem na filmowej taśmie, że nie zdrzyknąłbym się ujrzeć pochylonego Pradziadka Michała Tracza (zmarł w lipcu 1939 r.), wynurzającego się spoza jakiegoś drzewa, podejmującego opadłe jabłka, aby je odnieść do polowej suszarni. Byłem niesamowicie wzruszony tym, że stąpałem po ziemi, która niegdyś – jeszcze za mojej pamięci – była Gajem, niemal namacalnie odczuwałem przy sobie obecność dziadka Antoniego Jana Dziedziniewicza i babki Zofii, aczkolwiek chyba nigdy ścieżek gajowskiego sadu z nimi nie przemierzałem. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że słyszę niemy głos obficie owocujących drzew, wołających do mnie: – *Zostań tu i zajmij się nami!* Przed oczyma duszy, na drugim planie miałem postać Dziadka Dziedziniewicza, który niemym szerokim gestem wskazywał na opuszczony i niszczący trud całego niemal swego życia. Byłem psychicznie zdruzgotany stwierdzonym faktem, że tego majątku, który jeszcze dzisiaj owocuje, nikt nie wziął pod swoją opiekę – Dziadek musiał stąd uciekać w marcu 1944 r., aby ocalić życie, a to, co po nim pozostało, nikomu nie służy. Opuszczony i nikomu teraz niepotrzebny Gaj, do końca życia Dziadka pielęgnowany we wspomnieniach, rozrywał mi serce...

Doznane przeżycia, konfrontacja obecnej rzeczywistości ze wspomnieniami sprzed ponad 60 lat, nie pozwoliły mi na realistyczne działania – rzuciłem taksówkarzowi, aby jechał do Stanisławowa..., pardon! Do Iwano-Frankiwska! Dopiero później, gdy już wyjechałem ze Stanisławowa, pożałowałem, iż nie zatrzymałem się w Słobodzie nad Woroną i nie odszukałem kogoś wiekowego z tutejszych mieszkańców, który mógłby mi coś opowiedzieć o losach Gaju w okresie od 1944 roku do 2002 i o tej nowowzniesionej figurce Matki Boskiej na jego terenie. Nie wydaje mi się, aby przez cały ten czas Gaj był pozostawiony samemu sobie. Ale kto to wie... □

# Odpust

## Jerzy Czyżycki

Jak od szeregu lat, tak i w tym roku ostatnia niedziela lipca była poświęcona św. Annie Samotrzeciej. Mała społeczność Siedlakowic i Mirosławic przy współudziale dawnych mieszkańców (parafian) Tłumacza wzięła udział w uroczystej mszy odpustowej.

Wieść gminna niesie, a jej potwierdzeniem był i ten rok, że na św. Anny zawsze jest pogoda. Powiadali też, że w czasach wojen, a Tłumacz był ich niejednokrotnym świadkiem, w tym dniu, dziwnym trafem, wojska opuszczały to kresowe leżące na Pokuciu miasteczko, ustawały walki, a parafianie bez bojaźni i przeszkód mogli świętować ten dzień. Dzisiejsza niedziela, w części dotyczącej pogody, nie ustępowała przekazom. Upał był naprawdę niemiłosierny. Przypomniała mi się pierwsza odpustowa msza św. po renowacji obrazu, którą odprawił J. E. ks. Henryk Kardynał Gulbinowicz, Arcybiskup Metropolita Wrocławski, mówiąc w homilii: „Dziś jest naprawdę potworny upał. Rozmawiałem przed przyjazdem do Was z Rzymem i nie uwierzycie, tam we Włoszech jest o wiele mniejsza temperatura.”

Z okazji odpustu „nasz” kościółek filialny został odświętnie przystrojony, czekał na swych odpustowiczów.

Mszę św. odprawił ks. Piotr Mrzygłód, doktorant KUL, zaproszony na tę uroczystość, zaś homilię głosił nowy od miesiąca Włodarz parafii Zachowice ks. Andrzej Kulig. W głoszonym słowie dziękował parafianom za przystrojenie kościółka, witał nas, dawnych parafian, św. Anny, podnosząc kilkakrotnie wątek kultu ku Jej czci. Uroczysta suma zakończona procesją i pieśnią „Boże coś Polskę” dobiegła końca.

Powitania, rozmowy przybyłych dawnych mieszkańców Tłumacza po mszy opodał kościółka, nie trwały długo. Korzystając z gościny Pani Weroniki Kłaprowskiej, dawnej i obecnej parafianki oraz Jej córki Stanisławy, przenieśliśmy się na Jej podwórze i tam urządziliśmy skromne przyjęcie odpustowe. Zapraszaliśmy też na to spotkanie nowego proboszcza, chcąc by zapoznał się z naszą małą tłumacką społecznością, ale nie mógł przyjść z uwagi na to, że gościł zaproszonego kapłana.

Nasza 30-osobowa (bo tyle nas było) grupka przy grillowych kielbaskach, słodkościach i zimnych napojach, długo opowiadała po raz e-nty, jak to kiedyś bywało, prowadziła dysputy, udzielała wzajemnie przeróżnych porad. Nic nie trwa wiecznie i czas było się pożegnać. Dziękując Gospodarzom za serdeczną gościnę, rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę, życząc wzajemnie spotkania za rok. □

## Poświęcenie polskiej kaplicy w Tłumaczu

W niedzielę 28 lipca 2002 r. o godz. 15<sup>00</sup> odbyła się wielka uroczystość otwarcia i poświęcenia kaplicy znajdującej się na cmentarzu w Tłumaczu. Kaplica ta została przekazana społeczności polskiej mieszkającej w Tłumaczu i okolicy. Po poświęceniu odprawiono nabożeństwo koncelebrowane przez sześciu księży, w tym dwóch polskich ze Stanisławowa. Dotychczas kaplica ta była użytkowana raz w roku z okazji dnia Wszystkich Świętych. Mieszkańcy Tłumacza kaplicę odnowili i ozdobili wewnątrz. Na uroczystość poświęcenia przybyło około 200 osób. Przyjechali autokarem oraz samochodami. Wiele osób przyszło po ukończonej Mszy św. z miejscowej greko-katolickiej cerkwi. Kazanie wygłoszone zostało w języku polskim i ukraińskim przez księży obu narodowości. Na zakończenie zawiadomiono zgromadzonych, że od tej pory Msze św. będą się odbywały w kaplicy polskiej we wszystkie niedziele i święta o godz. 15<sup>00</sup>. Ludność ukraińska ciepło ze zrozumieniem przyjęła fakt otwarcia nowej świątyni. Polskim księżom towarzyszyły trzy polskie zakonnice. Proboszcz unicki ks. Wołodimir Wityszyn z Tłumacza zaproponował Polakom, aby w okresie zimowym odprawianie Mszy św. w obrządku rzym.-kat. odbywało się w starej cerkwi przy ul. Szewczenki (dawniej Kolinieckiej). Remont cerkwi ma być zakończony przed nadejściem mrozów.

Na podstawie relacji p. **Ireny Zięby-Pańkiw**  
oprac. **J. Johnson**

*Znamienne jest to, że w tym samym dniu i czasie kiedy byli mieszkańcy Tłumacza pielgrzymowali jak co roku do swego obrazu Św. Anny Samotrzeciej znajdującej się obecnie w Siedlakowicach koło Wrocławia, a ich myśli i modły płynęły do dawnego miasteczka na Pokuciu, właśnie wtedy zaczęła się tam uroczystość poświęcenia i odprawienie pierwszej mszy św. w kaplicy cmentarnej w Tłumaczu. Widocznie św. Anna, od kilkuset lat patronka Tłumacza, ma taką przemożną moc, że na swoje święto gromadzi wszystkich parafian.*

Redakcja

\*\*\*

*Będąc w maju br. w Kołomyi usłyszałam, że od lipca t.j. od św. Anny zostanie otwarty polski kościół w Tłumaczu, gdyż od 2 lat zabiegają o to Tłumaczanie polskiego pochodzenia. Plany były mianowicie takie, że w Obertynie miała powstać plebania, w której na stałe miał być proboszczem dotychczas dojeżdżający z Kołomyi wikary ks. Stanisław. Miał on też stamtąd obsługiwać kaplicę rzym.-kat. w Tłumaczu.*

*Przyznam się, że wtedy w maju, gdy o tym słyszałam, nie bardzo wierzyłam, że to może tak szybko nastąpić. W imieniu wszystkich byłych mieszkańców Tłumacza składamy obecnym jego mieszkańcom szczerze gratulacje. Wierzmy, że wytrwacie w tym chwalebnym dziele odnowienia świątyni rzym.-kat. po 57 latach. Szczęść Wam Boże!!!*

**Danuta Tabińska-Juhasz**



# List z Izraela – VI

Kornelia Szankowska

Trwa upalne telawiwskie lato.

Pomimo włączonych urządzeń i pootwieranych na przestrzał okien jest bardzo gorąco. Nagrzane są cienne mury, a przede wszystkim dach ceramiczny, a to 1-sze i jedyne piętro. Tylko wczesny ranek daje wytchnienie, ale niebawem temperatura przekroczy 32° C w cieniu.

Rano po niebie przesuwają się brzemienne chmury, ale żadna nie uрони tu deszczu, no może niezwykle rzadko kilka kropli. Przenoszą swój cenny dar gdzieś do Libanu, czy Syrii...

Jerozolima ma inny klimat. Bliskość gór daje niższą temperaturę. Teraz w sierpniu ranki i wieczory tam już są chłodne.

Pomimo słonecznego żaru ponownie kwitną drzewa. Pojawiają się fioletowe „bukiety” na drzewach robinii. Na wiosnę kwitły obficie, bezlistne. Teraz mają pyszną pierzastą zielenią poprzątaną kiściami kwiatowymi. Także obficie i długo, bo od lipca, kwitną bardzo wysokie krzewy przypominające nasze bzy, ale w różowych odcieniach i nie pachną. Zapachem miłym i silnym raczy nas tutejszy jaśmin. Na ciemnozielonych, kolczastych i gęstych krzewach są rozsiane pięciopłatkowe, białe „gwiazdeczki” mocno pachnące. Często są to żywopłoty. Jest też niebiesko od baldachów kwiatowych, którymi są obsypane kopolaste krzaki. Z nich też formuje się żywopłoty, tnąc kwiecie, które niebawem odrasta. Po wtórnie kwitną drzewa płomiennej dzakarandy. Nieustannie kwitną we wszystkich kolorach północy bugcuwille dorastające 5-7 metrów. Na rabatach są nowe rośliny – teraz posadzone będą kwitły do „zimy” tj. pory grzmotów i częstych, ulewnych deszczów. Wytchnienie daje nam Morze Śródziemne. Czasem jest niezbyt czyste. Plaża jest wyposażona w drewniane dachy z listew na słupach. Dają konieczny cień – ze słońcem tu nie ma żartów – pali! Blisko znajdują się natryski oraz zespół kranów do mycia nóg i oczyszczania stóp z mazutu. Wejścia na plażę, wprost z promenady, to małe pochylone i schody. Promenada na pewnym odcinku to szeroki bardzo chodnik przy niezwykle ruchliwej drodze do Jafy.

Niedawno w morzu pojawiła się mnogość parzących dużych meduz do 0,5 m średnicy. Nie było więc kąpieli. Brzeg był nimi usiany. Oparzenia były bardzo dotkliwe i pozostawiały długotrwałe pręgi. Należało mieć ocet – ta wiedza może przydać się w przyszłości. Woda się ogrzała – inwazja skończyła się. Meduzy były następnie zbierane – podobno są jadalne.

Oprócz morza służyły do kąpieli baseny z komfortowym wyposażeniem np. do masażu wodnego – to prawdziwa chłodząca frajda.

Rozległy Tel-Awiv ma dobrze działającą komunikację autobusową, z wspinałymi kierowcami. Mają refleks i chętnie informują. Poza tym są szeryty (mikrobusy). One kursują też w szabat i święta, gdy w te dni nie jeżdżą pociągi.

Liczne ulice Tel-Awiwu są bardzo długie. Np. Stara Allemba (to nazwisko angielskiego generała, który pomagał Żydom), Arlozorof, Weizman czy Ibn Gwirol.

Pierwsza z nich to dawne centrum Tel-Awiwu. W jej starych domach są głębokie sklepy – można tu kupić wszystko i... jeszcze coś więcej. Jak na warszawskich

Nalewkach ongiś. Kupić i zjeść, dosłodzić się i napić. Allemba jest bardzo głośna i ruchliwa, ale... na chodnikach śpią żebracy i bezdomni. Od niej w obie strony biegną przecznice tylko dla pieszych ze sklepami, restauracjami. Przy tych promenadach znajdują się stare, piękne (nadal) domy z początku XX w. – efekt pracy twórców z różnych krajów Europy. Mają niezwykłą architekturę. Misterne balkoniki z wążutkami drzwiami rozmieszczane są z fantazją np. na narożu budynku. Są także wykusze. A okna o pięknym wykroju wyposażone są w wąskie ramy ze szczelkami – które stanowi żaluzje. Domy te są często obecnie remontowane, a w parterach funkcjonują sklepy, lokale, gdy wyżej trwają prace budowlane. Czas to pieniądź!

Od ul. Allemba na jej przecznicy o nazwie Carmel rozpoczyna się ogromny bazar tzw. Szuk Karmel, ciągnący się ok. 1,5 km, rozbiegający się w przecznice. Na początku jest sklep firmy Front Bros – z Krakowa, tak, tak, chyba z Grodzkiej, z przyprawami, ziołami i kawą w wielu gatunkach; mówi się tam też po polsku.

Na Szuku można kupić tanio zarówno wszelką żywność, słodycze, artykuły przemysłowe i kwiaty, jak też ubrać się od stóp do głów – wszystko po atrakcyjnie niskich cenach. Można się jeszcze targować, ale po co? – tu jest tanizna. Tędy, niezbyt szerokim przejściem między ogromnymi straganami przechodzą, ba, przewalają się, tłumy kupujących lub tylko zainteresowanych. Przekupnie wrzeszczą reklamując towar, co kawalek ogłasza „muzyka” sprzedawców nagrań.

Wszystko to objęte jest jak ramą starą niepowtarzalną architekturą, której się prawie nie widzi, bo trzeba patrzeć pod nogi, pilnować torebki i uważać, by ktoś nie najechał z towarem. A warto podnieść głowę i popatrzeć...

Czasem trzeba przejść szybko, bo towar leży na wierzchu, jest gorąco, łatwo się więc psuje.

Stamtąd już jest blisko do morza, które szumi tak łagodnie w porównaniu z hałasem jaki czynią ludzie.

Inne, nowe ulice Tel-Awiwu mają niezbyt ciekawą, jednostajną zabudowę domów głównie mieszkalnych. Te nie różnią się od siebie, co utrudnia orientację w mieście. W starszych domach są partery mieszkalne, nowsze stoją na słupach, u dołu parkują auta.

Podobnie place na skrzyżowaniach ulic nie mają nic charakterystycznego, czasem jest fontanna lub jakiś akcent, najczęściej niczego nie ma.

Jest jednakże wiele wolnostojących, nowoczesnych wielopiętrowych budowli. Są to biurowce, giełdy lub olbrzymie domy handlowe. One wzbogacają sylwetkę miasta.

Także wzdłuż nadmorskiej promenady królują nowoczesne hotele, bardzo wysokie, o urozmaiconej, ambitnej architekturze.

Przy nich od czasu do czasu zobaczyć można minaret lub fragment meczetu przebudowywany na inny cel.

Skończono niedawno wzorzystą „posadzkę” promenady i umocnienie skarpy przy brzegu morza „cyklopowymi” miarowymi blokami kamiennymi. Brak tutaj drzew. Na promenadzie praży słońce, a można się przejść ~ 4.0 km z Tel-Awiwu do Starej Jafy. Są tylko rabaty kwiatowe odporne na nadmorską aurę i słońce.

Pięknie wyglądałyby tu palmy, co proponował projektant zieleni, ale z jakichś powodów władze miasta nie akceptowały tu palm.

Jedynie u wylotu ul. Ben-Gurzon przy jednej z restauracji nadmorskich jest gaj palmowy. Tu blisko jest też przystań dla żaglówek.

Natomiast w całym mieście jest moc zieleni, starych drzew i wszędzie kwitnących krzewów. Są też duże parki i skwery z poborem wody.

Tel-Awiw zlewa się z Ramat-Ganem, Givatayim, czy Jafo. Ta z kolei z Bat-Jam, z którego wyrasta Holon itd., nie ma granic. Nazwy wielu ulic Tel-Awiwu to po prostu nazwy polskich miast; nam bardzo bliskie. Jest więc ulica Kraków, Poznań, Kalisz, Brody (dawne polskie tereny Małopolski – gdzie ojciec mój był powiato-

wym lekarzem weterynarii, także był kapitanem późniejszy generał Anders). Dalej są: Katowice, Wilno, Nowydwór, a także Mickiewicz, Orzeszkowa, Złotopolski, Kowalski, Lipski, Bałaban i Tuwim. (...)

Zmęczone całodzienną pracą słońce chowa się za chmury. W ogrodach szmerzą spryskiwacze, rozsiewając wodę. Tel-Awiw rozbłyskuje dziesiątkami neonów i reklam i późno usypia.

(c.d.n.)



Fragment promenady w Tel-Awiwie. Przy palmach Autorka



Tel-Awiw – plaża, palmy i restauracja

## † ODESZLI

**Płk inż.**

**Julian Piotrowicz**

– Tłumaczanin, nasz drogi Kolega odszedł na wieczną wartę w dn. 9. 07. 2002 r. Urodził się w Tłumaczu w dniu 15. 09. 1927 jako syn Antoniego i Stefanii z Hibsów. Ojciec Juliana, Antoni, był legionistą i uczestnikiem wojny bolszewickiej w 1920 roku. Julian uczęszczał

do szkoły powszechnej w Tłumaczu, gdzie w czasie wojny nauka była przerywana przez kolejne okupacje, które przewalały się przez ówczesne Kresy Wschodnie. Julek z bratem byli uzdolnieni muzycznie, co wpływało na ich popularność i ogólną sympatię wśród młodzieży tłumackiej. Po ekspatriacji Julek z rodzicami znalazł się na Ziemiach Odzyskanych. Od 1947 roku życie swoje związał z Wrocławiem. Tutaj ukończył z wyróżnieniem Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Inżynieryjnych. Tutaj również ukończył Wydział Konstrukcji Budownictwa Lądowego na Politechnice Wrocławskiej. Całą swoją służbę wojskową związał z WSOWInz, a w niej z wychowaniem i wyszkoleniem wielu młodych adeptów wojsk inżynieryjnych. Niezależnie od tego wielokrotnie brał udział w różnych akcjach: powodziowych, rozminowaniach, wyburzeniach prowadzonych na terenie całego kraju. Pisywał do specjalistycznych wydawnictw takich jak: „Przegląd Wojsk Inżynieryjnych” i „Przegląd Wojsk Lądowych” dzieląc się swoim doświadczeniem w pracy dydaktyczno-wychowawczej i naukowo-badawczej. Należał do grona zasłużonych nauczycieli akademickich.

Jeszcze w roku 1952 ożenił się z Krystyną Arendt z Wyszkowa. W pięćdziesięcioletnim szczęśliwym małżeństwie dochowali się troje dzieci i ośmioro wnucząt. Julek nigdy nie tracił kontaktu ze swoimi krajanami. Tłumaczanie będą Go zawsze cenić za inicjatywę organizację wspólnych wczasów w Ośrodku Wojskowym w Kołobrzegu, które od kilkunastu lat tam kontynuujemy. Wśród wielu odznaczeń jakie płk inż. Julian Piotrowicz otrzymał, należy wymienić:

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski;  
„Polonia Restituta”;  
Złota Odznaka – „Zasłużony dla Województwa i Miasta Wrocławia”;

Zasłużony Saper WP – za szczególne zasługi w wykonaniu zadań inż. na rzecz wojska i społeczeństwa;

Złota Odznaka za udział w pracach społecznych na rzecz kresowian przyznana przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Połud.-Wsch.

Całej licznej Rodzinie składamy wyrazy najserdeczniejszego współczucia.

Tłumaczanie

Wyrazy głębokiego współczucia składamy Koledze **Jerzemu Czyżyckiemu**, naszemu Sekretarzowi Oddz. Tłumackiego z powodu śmierci żony **Teresy Danuty**. Wysoka kultura osobista Zmarłej budziła szacunek i sympatię grona Tłumaczan, z którymi spotykała się na corocznych zjazdach w Kołobrzegu.

Z całą Jej Rodziną łączymy się w żalu.

Tłumaczanie



## Lista Ofiarodawców za III kw. 2002 r. (w zł.)

1. Lidia Wysoczańska, Kraków .....	12.-	6. Jan Stim, Francja .....	20.-
2. Stanisława Stępniewska, Wrocław .....	12.-	7. Czesław KroczeK-Jaśkiewicz, Opole .....	12.-
3. Józef Burczyński, Kamienna Góra .....	12.-	8. Anna i Jerzy Korczowscy, Gliwice .....	50.-
4. Józefa Prymakowska, Przyborów .....	22.-	9. Stanisław Fudali, Szczecin .....	2.-
5. Zygmunt Boniowski, Kraków .....	62.-		

**Wszystkim Ofiarodawcom bardzo serdecznie dziękujemy.**

## Spis treści

Rocznice Września (1, 11, 17 IX 2002 r.) .....	II strona okładki
Ojcu – Jan Johnson – wiersz .....	II strona okładki
Lista Ofiar Stalinizmu – Jan Johnson, Anna Panachida-Bocheńska .....	1
<b>Tłumacz w okresie I wojny światowej</b>	
Powrót (c.d.) – Franciszek Petrus .....	2
<b>Tłumacz – „Po zapomnianych ścieżkach” (cz. I) Przedmowa – Jarema Bohajczuk .....</b>	<b>4</b>
<b>Z okresu dwudziestolecia międzywojennego</b>	
Czarnohora – teatr mojego życia – Mieczysław Zdanowicz .....	6
O kominie gorzelni tyśmienickiej – Stanisław Pelikan .....	8
<b>Lata wojenne 1939-1945</b>	
Wspomnienia z wrześniowych dni 1939 roku – Stanisław Pajęczyński .....	10
<b>Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża</b>	
Obrazy sakralne ze Lwowa i z Kresów w świątyniach Wrocławia – Tadeusz Kukiz .....	12
Tajemnica Radosna (Przedruk z „Dziennika Polskiego” z 15 X 1999 r.) – Edward Śniechowski .....	14
<b>Z tłumackiego powiatu</b>	
Tarnowica Polna – Nowy Waliszów (cz. III) – Danuta Tabińska-Juhasz .....	14
<b>Z życia Tłumaczan</b>	
Nasze powroty – Irena Pełech-Ruszel .....	17
Gaj po latach... – Stanisław Fudali .....	18
Odpust – Jerzy Czyżycki .....	22
Poświęcenie polskiej kaplicy w Tłumaczu – Na podstawie relacji p. Ireny Zięby-Pańkiw oprac. J. Johnson ....	22
List z Izraela – VI – Kornelia Szankowska .....	23
<b>Odeszli .....</b>	<b>24</b>

Redaguje zespół w składzie: Redaktor naczelny – Danuta Tabińska-Juhasz, zastępca – Elżbieta Niewolska  
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

Adres Redakcji: TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, I p.  
Tel./fax 071/344-88-93.  
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki.  
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów  
oraz poprawek stylistyczno-językowych.



055 3009

1-00-1